

**STENDHAL**

PUSTELNIA

PARMEŃSKA

Stendhal

**Pustelnia parmeńska**

«Public Domain»

## Stendhal

Pustelnia parmeńska / Stendhal — «Public Domain»,

Fabrycy del Dongo to syn mediolańskiego arystokraty. Niestety choć w domu nie brakuje pieniędzy, młodzieniec nie znajduje w nim miłości i wsparcia, więc postanawia spróbować szczęścia w armii Napoleona. Bierze udział w bitwie pod Waterloo. Po powrocie rozpoczyna karierę w duchowieństwie, ale nie stroni od romansów... Powieść Stendhala Pustelnia parmeńska, dzięki przychylnym recenzjom m.in. Honoriusza Balzaka, przyniosła Stendhalowi uznanie już za jego życia. Marie-Henri Beyle, piszący pod pseudonimem Stendhal, to jeden z najśłynniejszych francuskich pisarzy początku XIX wieku. Był prekursorem realizmu w literaturze — uważał, że zostanie zrozumiany dopiero przez przyszłe pokolenia. Sformułował koncepcję powieści-zwierciadła.

## Содержание

Od tłumacza	5
I	7
Przedmowa	8
Rozdział pierwszy	9
Rozdział drugi	16
Rozdział trzeci	25
Rozdział czwarty	33
Rozdział piąty	43
Rozdział szósty	54
Конец ознакомительного фрагмента.	67

# Pustelnia parmeńska

## Od tłumacza

Wydając niedawno po polsku *Czerwone i czarne* Stendhala, poprzedziłem tę książkę krótkim życiorysem oraz charakterystyką pisarza; nie będę tedy powtarzał tych ogólnych rysów, dodam jedynie kilka słów odnoszących się do samej *Pustelni parmeńskiej*. Ukazała się ona drukiem w r. 1839, jako ostatni większy utwór Stendhala, pomyślana została jednakże już w r. 1832, tuż po *Czerwonym i czarnym*. I w istocie czuć, iż oba utwory wyrosły z jednej epoki duchowego życia pisarza, tyle odnajdujemy w nich wspólności.

Wspólność – ale raczej wewnętrzna; na pozór znajdujemy się w zupełnie innym świecie. Tam Francja, tu Włochy; tam bohaterem powieści jest ambitny plebejusz, tu spieszczony arystokrata... Mimo to twórczość Stendhala jest – przy pozorach suchego obiektywizmu – tak osobista, iż znów trzeba nam w nim samym poszukać komentarza do tej *Pustelni parmeńskiej*.

Przypomnijmy go sobie w r. 1800, kiedy jako siedemnastoletni chłopak pierwszy raz dosiada konia, aby w ślad za krewniakiem swym, Daru, podążyć do Włoch za armią Bonapartego. Młody Beyle dostaje się do Mediolanu, a siła tych pierwszych upojeń, które znalazł na ziemi włoskiej, jako jedna z żywych głosek wspaniałego rapsodu, który się tam rozgrywał, jest taka, iż w trzydzieści lat później wspomnienie ich starczy, aby mu podyktować karty rozpoczynające *Pustelnię parmeńską*, jedne z najgorętszych, najbardziej świeżych, jakie kiedy wyszły spod jego pióra. Ten sam *napoleonizm*, który przenikał *Czerwone i czarne*, bije i tutaj z każdej stronicy; ale podczas gdy tam był to ów napoleonizm pogrobowy, beznadziejny, tutaj tryska on świeżością i stanowi nieporównany dokument do zrozumienia tej epoki dziejów. Cały początek powieści wraz z tym tak sławnym w literaturze opisem bitwy pod Waterloo jest arcydziełem.

Napoleon... oto wielkie imię, które stanowi klucz do zrozumienia bohaterów obu tych powieści; ono stwarza to braterstwo duchowe między francuskim plebejuszem a włoskim arystokratą i pozwala duszy samego autora przeglądać się w nich obu. Dwie te powieści to dwa studia *napoleonizmu*, tej wielkiej epidemii wieku; monografie dwóch gorących serc usychających w nostalgii za tą dziwną, bajkową ojczyzną, jaką była dla nich armia Napoleona.

Kult Napoleona to u Stendhala kult *energii*, hymn o mocnym życiu instynktu, hazardu i wzruszenia. Francuzom, będącym (wedle Stendhala) na antypodach tej heroicznej koncepcji życia, dał go kosztować Napoleon. Francja, a zwłaszcza ów tak antypatyczny mu Paryż – to dla Stendhala królestwo intelektu; Włochy, a zwłaszcza Włochy z epoki Renesansu – to królestwo instynktu. Ale coś – wiele nawet – z renesansowej Italii żyje i w owych współczesnych Stendhalowi Włoszech, które tak bardzo ukochał, w których spędził większą część życia i które nawet na kamieniu grobowym uczynił swą prawdziwą ojczyzną. Zwłaszcza włoska kobieta, którą Stendhal tak uwielbia i którą tak zawsze przeciwstawia antypatycznej dlań Francuzce, pozostała – w najwspanialszych swych egzemplarzach – owym czystym *instynktem*, bez którego nie istnieje dlań żadne piękno, żadna wielkość życia. I po trosze ze strzępów przeżyć i wspomnień, po trosze i więcej zapewne – z marzenia urodziła się tu niepokojąca Gina Pietranera (pierwsza kobieta, którą Stendhal kochał we Włoszech, nazywała się Pietragrua), która kartom tej powieści daje tyle mocnego i oryginalnego wdzięku. Równocześnie jest ta księżna Sanseverina żywym wyrazem owej spokojnej, niezachwianej ani na chwilę *amoralności* kobiety, o ile pozostała ona cała instynktem, nie tkniętym niemal przez wychowanie społeczne. Nawet wyrzut sumienia – to coś dla niej nie istnieje. Zastanawiałem się nad tym swego czasu, pisząc o Makbecie Szekspira.

Instynktem jest i Fabrycy. Jakiś alogiczny imperatyw dyktuje mu wszystkie jego czynności; mamy uczucie, jak gdyby żył w jakimś śnie na jawie. Ale – powiedzmy otwarcie – ta postać o wiele mniej jest żywa niż sama księżna; omal nie powiedziałbym chybiona. Marząc sobie postacie kobiece, kochając się w nich z piórem w ręku, Stendhal wywoływał je z doskonałą siłą wizji; tak powstały te niezapomniane figury pani de Renal, Matyldy de la Mole, Giny Pietranera. Trudniej z mężczyznami; tu *egotyzm* autora, osobiste elementy wciskają się pod pióro, mącąc nieraz czystość rysunku i plastykę postaci. O ile egotyzm ten mocą siły twórczej stopił się niemal doskonale z postacią Juliana Sorel, dając jej intensywne a samoistne życie, o tyle tutaj odnajdujemy go w Fabrycym w nie dość organicznym zespoleniu.

Skoro już mowa o brakach tej powieści, zaznaczamy jeszcze ten sam rys, który tak niecierpliwąco dawał się uczuć w *Czerwonym i czarnym*: mianowicie posługiwanie się osobami, które odgrywają znaczną rolę w akcji, a których znamy jedynie nazwiska powracające raz po raz niby liczmanem: takim liczmanem jest tu owa wieczna margrabina Raversi, a poniekąd i Fabio Conti, Rassi etc. Jeszcze, jak wspomniałem, nie przeszedł przez powieść nowoczesny Balzac ze swoją sztuką wywoływania całego świata żywych postaci – aż do najdrobniejszych.

Poza tym *Pustelnia parmeńska* posiada też same cechy „techniki” pisarskiej Stendhala co *Czerwone i czarne*; ten sam sposób opowiadania mało operujący dialogiem, więcej drobiazgową analizą stanów duszy. Ta analiza uczyniła ze Stendhala bożyszcze „szkoły psychologicznej” w ostatnich dziesiątkach ubiegłego wieku. Dziś staliśmy się nieco bardziej sceptyczni wobec psychologii w ogóle: może jest i coś fatydycznego w samym terminie „psychologia”, co – jak wiadomo – oznacza nie tyle *znawstwo duszy*, ile gadania o duszy. Faktem jest, iż raczej przemawia dziś do nas w Stendhalu to, co jest wyobraźnią, niż to, co jest ową drobiazgową analizą.

Wyobraźnia Stendhala – mimo iż tak bardzo odrębna od wyobraźni romantyków – działa w tym utworze z niezwykłą siłą sugestii. Stwarza świat – mniejsza, w jakim stopniu odpowiadający rzeczywistości – zanurza nas w pewnej atmosferze, w której pozostajemy aż do ostatniej karty książki. Te Włochy Stendhala, radosne, zbudzone do życia wkroczeniem zwycięskiej armii Bonapartego – to znów, po runięciu olbrzyma, ta atmosfera małego dworu z jego śmiesznością, intryzkami, małostkami, wszystko to żyje i zmusza nas do udziału w tym życiu. Czasem tylko buntujemy się na chwilę; zwłaszcza więzienna idylla Fabrycego i Klelii trąci nam romantyzmem nazbyt już „operowym”.

Ale nie mam zamiaru ustalać bilansu zalet i wad tej książki. Mimo swoich słabizn, mimo – zwłaszcza dotkliwych rozwlekłości (w części drugiej) – mimo swego „naturalnego” stylu, przetrwała ona i przetrwa zapewne jako jeden z najbogatszych w treść wewnętrzną, najbardziej sugestywnych utworów epoki. Jest ta książka jedną z najbardziej znanych, cytowanych. Istotnie, kto ją raz przeczyta, ten jej nie zapomina; zacierają się w pamięci szczegóły zawilej intrygi, ale dusza bogaci się o jeden ton, oryginalny, mocny i nieraz wspomnieniem swoim pogrążający w zadumie. I to wespółdziałające działanie stanowi urok Stendhala i sprawia, że książki jego przeżyły tyle innych, skądinąd może doskonalszych utworów literackich.

Warszawa, w czerwcu 1923

# I

*Gia mi fur dolci inviti a empir le carte/ I luoghi ameni.*  
**Ariosto, Satyry IV**

*(Do napisania tych kart natchnęły mnie niegdyś te czarowne okolice.)*

## Przedmowa

Opowiadanie to skreślono w zimie 1830 roku, o trzysta mil od Paryża; nie może tu być więc żadnej wzmianki o wydarzeniach z 1839 roku.

Wiel lat wprzód, gdy nasze armie przebiegały Europę, trafił pomieścić mnie na kwaterze w domu pewnego kanonika; było to w Padwie, szczęśliwym mieście. Pobyt przeciągnął się dość długo, mieliśmy czas zaprzyjaźnić się z kanonikiem.

Przejeżdżając przez Padwę z końcem 1830 roku pobiegłem do domostwa zacnego księdza; nie żył już, wiedziałem o tym, ale chciałem raz jeszcze zobaczyć salon, gdzie spędziliśmy tyle miłych wieczorów, tak często później wspomnianych z żalem. Zostałem bratanek kanonika oraz jego żonę; przyjęli mnie jak starzy przyjaciele. Nadeszło jeszcze kilka osób, zebranie przeciągnęło się. Gospodarz kazał przynieść z kawiarni „Pedroti” doskonały *zambajon*<sup>1</sup>. Głównie zabawiła nas do tak późna historia księżnej Sanseverina. Ktoś o niej wspomniał, a bratanek kanonika opowiedział rzecz na moją cześć w całości.

– W kraju, do którego się udaję – rzekłem do moich przyjaciół – nie znajdę takiego domu jak ten; toteż, aby zapełnić długie wieczorne godziny, ułożę powiastkę z życia uroczej księżnej Sanseverina.

W takim razie – rzekł bratanek – pożyczę panu zapisków mego wuja, który pod paragrafem Parma wspomina niektóre intrygi tego dworu, w czasie gdy trzęsła nim księżna Sanseverina; ale strzeż się pan! Historia ta nie jest zbyt moralna i obecnie, kiedy wy we Francji macie ambicje ewangelicznej czystości, może ściągnąć na pana wprost morderczą reputację.

Ogłaszam tę powiastkę nic nie zmieniając w rękopisie z roku 1830, co może mieć dwie ujemne strony:

Pierwsza – dla czytelnika: bohaterowie jej, jako Włosi, mniej go może zainteresują, ile że charakter tego kraju dość jest różny od Francji. Włosi są szczerzy, dobrzy ludzie, bez fałszywego wstydu mówią, co myślą: próżności ulegają jedynie chwilami, wówczas staje się ona namiętnością i przybiera miano *puntiglio*<sup>2</sup>. Wreszcie ubóstwo nie jest u nich śmieszne.

Druga ujemna strona odnosi się do autora.

Wyznaję, że miałem tę odwagę, aby zostawić działającym osobom wszystkie brutalności ich charakteru; ale w zamian oświadczam głośno, iż nie szczędzę najmoralniejszej wzgardy wielu ich postępkom. Na co im było dawać wysoką moralność i wdzięk charakterów francuskich, które kochają pieniądź ponad wszystko i nie dopuszczają się grzechów z miłości lub nienawiści? Włosi grający rolę w tym opowiadaniu są bardzo odmienni. Zresztą mam wrażenie, że za każdym razem, kiedy się posuwamy o dwieście mil z południa na północ, następuje się nowy krajobraz jak i nowa powieść. Uroczą bratanicę kanonika znała, a nawet bardzo kochała księżną Sanseverina i prosi mnie, abym nie zmieniał nic w jej przygodach, zaiste bardzo nagannych.

23 stycznia 1839

---

<sup>1</sup> *zambajon*, *zabaglione* a. *zabaione* (z wł.) – poncz [słodki napój lub deser z alkoholu, soków owocowych i in.; Red. WL]. [przypis tłumacza]

<sup>2</sup> *puntiglio* (wł.) – punkt honoru. [przypis redakcyjny]

## Rozdział pierwszy

### *Mediolan w roku 1796*

15 maja 1796 roku generał Bonaparte wszedł do Mediolanu na czele młodej armii, która świeżo przebyła most Lodi i pokazała światu, że po tylu wiekach Cezar i Aleksander zyskali następcę. Cudy odwagi i geniuszu, których świadkami były Włochy, rozbudziły w ciągu kilku miesięcy uśpiony lud; jeszcze na tydzień przed przybyciem Francuzów mediolańczycy widzieli w nich jedynie zgraję bandytów pierzchających stale przed wojskami Jego Cesarskiej i Królewskiej Mości<sup>3</sup>; tak przynajmniej głosiła trzy razy na tydzień miejscowa gazeta, świstek drukowany na brudnym papierze.

W średnich wiekach republikańscy Lombardowie byli dzielni jak Francuzi i osiągnęli tyle, że cesarze niemieccy zrównali z ziemią ich miasto<sup>4</sup>. Od czasu jak się stali *wiernymi poddanymi*, głównym ich zajęciem było drukować sonety na różowych jedwabnych chusteczkach z okazji małżeństwa córek jakiej szlachetnej lub zamożnej rodziny. W parę lat po tej wielkiej epoce swego życia młoda dziewczyna brała sobie *szukę*<sup>5</sup>: niekiedy nazwisko takiego galanta, wybranego przez rodzinę męża, widniało na honorowym miejscu w kontrakcie ślubnym.

Cóż za przeskok od tego leniwego życia do gwałtownych wzruszeń, jakie dało niespodziane przybycie armii francuskiej! Niebawem wyłoniły się nowe obyczaje i namiętności. Z dniem 15 maja 1796 roku cały naród spostrzegł, iż wszystko, co dotąd czczył, było nad wyraz śmieszne, nieraz wstrętne. Wymarsz ostatniego austriackiego pułku zaznaczył upadek dawnych pojęć: narażanie życia stało się rzeczą modną. Zrozumiano, iż aby być szczęśliwym po wiekach obłudy i gnuśności, trzeba naprawdę ukochać ojczyznę i dokonywać bohaterskich czynów. W atmosferze będącej spuścizną zazdrosnego despotyzmu Karola V i Filipa II<sup>6</sup> Lombardowie żyli w mrokach głębokiej nocy; teraz obalili ich posągi i nagle znaleźli się w potokach światła. Od pięćdziesięciu lat, w miarę jak we Francji wschodził dzień *Encyklopedii* i Woltera, mnichy wmawiały pocziwym mediolańczykom, że nauka czytania lub czego bądź na świecie to trud bardzo zbyt ciężki i że płacąc regularnie dziesięcinę proboszczowi i opowiadając mu sumiennie swoje grzeszki, ma się mniej więcej zapewnione przyzwoite miejsce w raju. Aby wypruć z tego ludu, tak groźnego niegdyś i tak rezonerskiego, wszelki nerw, Austria sprzedała mu tanio przywilej uwalniający od dawania rekruta.

W 1796 roku armia mediolańska składała się z dwudziestu czterech drabów w czerwonych mundurach, którzy wraz z czterema wspaniałymi pułkami grenadierów węgierskich strzegli miasta. Obyczaje były mocno rozwiązłe, ale namiętności nader rzadkie. Nie licząc przykrości opowiadania wszystkiego spowiednikowi pod groźbą ruiny na tym świecie, pocziwy ludek mediolański był jeszcze skrepowany monarchicznymi pętami, które bywały dość uciążliwe. Tak na przykład arcyksiążę<sup>7</sup>, który rezydował w Mediolanie i władał w imieniu cesarza, swego kuzyna, wpadł na zyskowny pomysł handlu zbożem. Wskutek tego zabroniono chłopom sprzedawać zboże, póki Jego Wysokość nie napełni swoich spichrzów.

W maju 1796 roku, w trzy dni po wejściu Francuzów, młody miniaturzysta, nieco szalona pałka, zowiący się Gros<sup>8</sup> (nazwisko później sławne), który przybył wraz z armią, usłyszał w modnej

---

<sup>3</sup> *Jego Cesarska i Królewska Mość* – mowa o Franciszku II [Habsburgu] (1768–1835), ostatnim cesarzu rzymsko-niemieckim [od 1804 r. cesarzu Austrii (jako Franciszek I)]. [przypis redakcyjny]

<sup>4</sup> *W średnich wiekach republikańscy Lombardowie byli dzielni jak Francuzi i osiągnęli tyle, że cesarze niemieccy zrównali z ziemią ich miasto* – w 1162 r. Fryderyk Barbarossa zburzył po długim oblężeniu Mediolan. [przypis redakcyjny]

<sup>5</sup> *szuka* (daw.) – tu: służący, kawaler pozostający na usługi damy. [przypis edytorski]

<sup>6</sup> *Filip II* (1527–1598) – syn cesarza rzymsko-niemieckiego Karola V, król Hiszpanii, Neapolu i Sycylii, książe Mediolanu; zasłynął ze swej reakcyjnej polityki i okrutnych autodafów. [przypis redakcyjny]

<sup>7</sup> *arcyksiąże* – Ferdynand Austriacki (1754–1806), syn Marii Teresy, gubernator Lombardii. [przypis redakcyjny]

<sup>8</sup> *Antoine-Jean Gros* (1771–1835) – fr. malarz historyczny, autor licznych obrazów sławiących epopeję napoleońską oraz portretów m.in. ks. J. Poniatowskiego i J. Ursyna Niemcewicza; późniejszy malarz oficjalny cesarstwa i Restauracji, który jako oficer armii włoskiej poznał Napoleona i uzyskał jego protekcję dzięki obrazowi *Bonaparte na moście pod Arcole*. [przypis redakcyjny]

wówczas kawiarni „Servi” o działalności arcyksięcia, będącego w dodatku olbrzymim brzuchaczem, wziął spis lodów wydrukowany na ćwiartce lichego żółtego papieru. Na odwrotnej stronie narysował grubego arcyksięcia: żołnierz francuski kłuje go bagnetem w brzuch i zamiast krwi sypie się zeń nieprawdopodobna ilość zboża. Wszelki żart, karykatura były czymś zupełnie nieznanym w tym kraju czujnego despotyzmu. Rysunek zostawiony przez Grosa na stoliku kawiarni wydał się cudem, który zstąpił z nieba; odbito go w nocy, a następnego dnia sprzedano dwadzieścia tysięcy egzemplarzy.

Tegoż samego dnia ogłoszono afiszami kontrybucję wojenną sześciu milionów na potrzeby armii francuskiej, której po sześciu wygranych bitwach i zdobyciu dwudziestu prowincji brakło jedynie butów, spodni, odzieży i kapeluszy.

Ci nędzarze Francuzi wnieśli z sobą do Lombardii tyle szczęścia i radości życia, że jedynie księża i paru magnatów odczuło ciężar tej sześciomilionowej kontrybucji, po której niebawem przysłyły inne. Żołnierze francuscy śmiali się i śpiewali cały dzień; żaden z nich nie miał dwudziestu pięciu lat, wódz ich zaś, który miał lat dwadzieścia siedem, uchodził za najstarszego w armii. Ta wesołość, młodość, beztroska były jakby ucieśzną odpowiedzią na wściekłe nawoływania mnichów, którzy od pół roku głosili z ambony, że Francuzi to są potwory obowiązane pod karą śmierci palić wszystko i ścinać głowę każdemu, kto się nawinie: w tym celu każdy pułk kroczy z gilotyną na czele.

Po wsiach widziało się na progu chaty francuskiego żołnierza kołyszającego niemowlę gospodyni domu, prawie zaś co wieczór dobosz jakiś, grający na skrzypcach, improwizował balik. Ponieważ kadryl zbyt był uczony i zawily, aby żołnierze, nie umiejący go zresztą, mogli go nauczyć swoje tancerki, częściej one uczyły młodych Francuzów monferyna, skoczki i innych tańców włoskich.

Oficerów pomieszczono, o ile się dało, w domach bogatych; mocno potrzebowali się skrzepić! Tak na przykład pewien porucznik imieniem Robert otrzymał kwaterę w pałacu margrabiny del Dongo. Oficer ten, niedawny rekrut, dość lekkomyślny, posiadał w tej chwili za cały majątek talara otrzymanego pod Placencją. Pod Lodi zabrał dorodnemu austriackiemu oficerowi, zabitemu przez kulę, wspaniałe nankinowe spodnie, zupełnie nowe. Nigdy odzież nie zjawiała się równie w porę! Oficerskie szlify miał wełniane, na rękawach mundur przyszyty był do podszewki, aby strzępy nie spadały – ale najsmutniejsze było to, iż podeszwy u butów były sporządzone z kawałków kapelusza, również zagarniętego na polu bitwy, za mostem Lodi. Te improwizowane podeszwy przywiązane były do butów za pomocą bardzo widocznych sznurków, tak iż kiedy marszałek dworu zjawił się w pokoju porucznika Roberta, aby go zaprosić w imieniu margrabiny na obiad, pograżył go zaiste w okropnym kłopotcie. Dwie godziny, które zostawały do tego nieszczęsnego obiadu, spędził wraz ze swym forysicem<sup>9</sup> na cerowaniu munduru oraz czernieniu atramentem nieszczęsnych sznurków w trzewików. Wreszcie nadszedł straszliwy moment.

„W życiu nie byłem równie zakłopotany – mówił mi porucznik – te panie myślały, że im napędzę strachu, a ja byłem bardziej drżący od nich. Patrzałem na swoje trzewiki i nie wiedziałem, jak stąpać z wdziękiem. Margrabina del Dongo – dodał – była wówczas w całym blasku piękności: pamiętasz te cudne oczy o anielskiej słodyczy, te piękne ciemnoblond włosy, rysujące owal jej uroczej twarzy. W pokoju moim była na ścianie *Herodiada* Leonarda da Vinci; można by myśleć, że to jej portret. Bóg dał, iż oszołomiony tą nadprzyrodzoną pięknnością, zapomniałem o swoim stroju. Od dwóch lat widziałem w górzystych okolicach Genui same szpetne i nędzne postacie: ośmieliłem się wyrazić jej w kilku słowach swój zachwyt.

Ale nie byłem tak niemądry, aby długo brnąć w komplementach. Klecąc dworne frazesy, widziałem w marmurowej jadalni tuzin lokajów ubranych w sposób będący w moich ówczesnych pojęciach szczytem wspaniałości. Wyobraź sobie, hultaje mieli trzewiki nie tylko całe, ale do tego ze srebrnymi sprzączkami! Widziałem spod oka, jak wytrzeszczają gały na moje ubranie, może i na buty, co mnie doprowadzało do rozpaczki. Mogłem jednym słowem nagnać pietra tym trutniom, ale jak ich przywołać do porządku, nie przestraszając pań? Bo margrabina, aby sobie dodać odwagi –

---

<sup>9</sup> *forysic* a. *foryś* (daw., z niem. *Vorreiter*: jadący na przedzie) – ordynans; konny żołnierz służący oficerowi. [przypis edytorski]

nieraz mówiła mi to później – sprowadziła z klasztoru siostrę męża, Ginę del Dongo, pensjonarkę, która została później ową uroczą hrabiną Pietranera. Nikt nie dorównał jej wdziękiem i weselem w pomyślności, jak nikt nie przewyższał jej hartem i pogodą w złej doli.

Gina mogła mieć wówczas trzynaście lat, ale wyglądała na osiemnaście. Żywa i szczera, jak ją znasz, tak się bała, aby nie parsknąć śmiechem na widok mego stroju, że nie miała odwagi jeść. Margrabina, przeciwnie, zasypywała mnie wymuszonymi uprzejmościami; widziała doskonale w moich oczach zniecierpliwienie. Słowem, grałem głupią rolę, łykałem wstyd, rzecz podobno niemożliwa dla Francuza. Wreszcie myśl zesłana z nieba rozświeciła mój mózg: zacząłem opowiadać paniom o naszej nędzy wszystko, cośmy wycierpieli od dwóch lat w pogórzu genueńskim, gdzie nas trzymali starzy, głupi generałowie. Mówiłem, jak nam dawano asygnaty nie mające obiegu i trzy uncje chleba dziennie. Nie upłynęły dwie minuty, jak dobra margrabina miała łzy w oczach, a Gina spoważniała.

– Jak to, panie poruczniku – mówiła – trzy uncje chleba?

– Tak, pani, ale dostawa zawodziła trzy razy na tydzień, że zaś wieśniacy, u których staliśmy kwaterą, byli jeszcze biedniejsi od nas, dawaliśmy im nieco naszego chleba.

Po obiedzie przeprowadziłem margrabinę do drzwi salonu; następnie zaś, wróciwszy szybko, dałem lokajowi usługującemu mi przy stole ową jedyną sztukę srebra, na której budowałem tyle zamków na lodzie.

W tydzień później – ciągnął Robert – skoro już się upewniono, że Francuzi nie gilotynują nikogo, margrabia del Dongo wrócił ze swego zamku Grianta nad jeziorem Como, dokąd się mężnie schronił za zbliżeniem armii, zostawiając losom wojny młodą i piękną żonę wraz z siostrą. Nienawiść, jaką ten magnat czuł do nas, była równa jego strachowi, to znaczy niezmierną; ucieszenie było widzieć tę dużą, bladą facjatę świętoszka, kiedy się silił wobec mnie na uprzejmość. Nazajutrz po jego powrocie otrzymałem trzy łokcie sukna i dwieście franków z owej sześciomilionowej kontrybucji; oporządziłem się nieco i stałem się nadwornym rycerzem tych pań, bo nastąpiła epoka balów”.

Historia porucznika Roberta to w przybliżeniu dzieje wszystkich Francuzów; zamiast drwić z nędzy tych dzielnych żołnierzy, ulitowano się ich<sup>10</sup> i pokochano.

Ten okres niespodziewanego szczęścia i upojenia trwał ledwie dwa lata; szaleństwo było tak niezwykle i tak powszechne, że niepodobna byłoby mi dać pojęcia o nim inaczej niż za pomocą tej głębokiej historycznej refleksji: lud ten nudził się od stu lat.

Rozkosz przyrodzona południowym krajom władzała niegdyś na dworze Viscontich i Sforzów, słynnych diuków mediolańskich. Ale od 1624 roku, kiedy Hiszpanie zawładnęli Mediolanem<sup>11</sup> jako panowie milczący, podejrzliwi, dumni i wciąż lękający się buntu, wesołość pierzchła. Ludność, przejmując obyczaje swych panów, raczej myślała o tym, aby pomścić sztyletem najłżejszą zniewagę, niż aby się cieszyć życiem i chwilą.

Szalona radość, wesele, rozkosz, zapomnienie wszelkich smutków, a nawet rozsądku doszły – od 15 maja 1796, daty wejścia Francuzów do Mediolanu, aż do kwietnia 1799, kiedy ich wypędzono w następstwie bitwy pod Cassano – do tego, że można by przytoczyć starych kupców-milionerów, starych lichwiarzy, rejentów, którzy przez ten okres zapomnieli o kwaśnej minie i o ciułaniu grosza.

Co najwyżej można by wymienić kilka magnackich rodzin, które usunęły się do swoich pałaców na wsi, jak gdyby dąsając się na powszechną wesołość i rozkwit serc. Trzeba przyznać, że szlachetne te i bogate rodziny wyróżniono w przykry sposób w rozdziale kontrybucji ściąganej na rzecz armii francuskiej.

Margrabia del Dongo, oburzony tym weselem, schronił się jeden z pierwszych do swego wspaniałego zamku Grianta, za Como, dokąd też panie zabrały z sobą porucznika Roberta. Zamek ten, o położeniu jedynym może na świecie, wznosi się na płaskowyżu, na sto pięćdziesiąt stóp nad

---

<sup>10</sup> ulitowano się ich – dziś popr.: ulitowano się nad nimi. [przypis edytorski]

<sup>11</sup> Hiszpanie zawładnęli Mediolanem – faktycznie nastąpiło to w 1535 r. [przypis redakcyjny]

cudnym jeziorem; była to niegdyś warownia. Rodzina del Dongo zbudowała go w piętnastym wieku, jak o tym świadczą herby gęsto wyrzeźbione na marmurach; są tam jeszcze mosty zwodzone i głębokie rowy, co prawda bez wody, lecz mury wysokie na osiemdziesiąt stóp i grube na sześć zabezpieczają od napaści; dlatego zamek ów był tak drogi podejrzliwemu margrabiemu. Otoczony paroma tuzinami sług, w których oddanie wierzył zapewne dlatego, że nie odzywał się do nich inaczej niż z obelgą na ustach, czuł się tam mniej spłoszony niż w Mediolanie.

Strach ten nie był zupełnie bezpodstawny: margrabia utrzymywał żywą korespondencję z pewnym szpiegiem, pomieszczonym przez Austrię na granicy szwajcarskiej, o trzy mile od Grianta, dla ułatwienia ucieczki jeńcom pojmanym na polu bitwy; rzecz, która mogłaby się bardzo nie podobać generałom francuskim.

Margrabia zostawił młodą żonę w Mediolanie; zawiadowała tam sprawami rodzinnymi, miała poruczone bronić się przed kontrybucjami nałożonymi na Casa del Dongo, jak mówią w tym kraju; starała się je zmniejszyć, co zniewalało ją do stykania się z magnatami, którzy zgodzili się przyjąć funkcje publiczne, a nawet z paroma wpływowymi osobistościami z nieszlachty. Właśnie zaszedł w rodzinie ważny wypadek. Margrabia ułożył małżeństwo siostry swej Giny z bogatym i wysoko urodzonym jegomością, ale oblubieniec pudrował się, co sprawiło, że Gina przyjmowała go wybuchem śmiechu, niebawem zaś popełniła to szaleństwo, że zaślubiła hrabiego Pietranera. Był to, trzeba przyznać, wyborny szlachcic, bardzo urodziwy, ale zrujnowany od dwóch pokoleń i na domiar nieszczęścia gorący zwolennik nowych idei. Pietranera był podporucznikiem w legii włoskiej, co dopełniało rozpacz margrabiego.

Po tych dwóch latach szczęścia i szału Dyrektoriat paryski, jak władca pewny swego panowania, okazał śmiertelną nienawiść do wszystkiego, co nie było miernotą. Nieudolni generałowie, których wysyłał do armii włoskiej, przegrali szereg bitew na tych samych równinach werońskich, które dwa lata wprzód były świadkiem cudów Arcole i Lonato. Austriacy zbliżyli się do Mediolanu; porucznik Robert, mianowany majorem i ranny pod Cassano, po raz ostatni zamieszkał u przyjaciółki swej, margrabiny del Dongo. Pożegnanie było smutne; Robert odjechał z hrabią Pietranera, który towarzyszył Francuzom w ich odwróceniu pod Novi. Młoda hrabina, której brat odmówił wypłaty ojcowizny, jechała za armią na wózku.

Wówczas zaczęła się epoka reakcji i powrotu do dawnych pojęć, którą mediolańczycy nazywają *i tredici mesi* (trzydzieści miesięcy), ponieważ w istocie, na ich szczęście, powrót ten do głupoty trwał tylko trzydzieści miesięcy, do Marengo. Wszystko, co było stare, nabożne, markotne, zjawiało się znów u steru i objęło rządy: niebawem ludzie, którzy pozostali wierni uczciwym zasadom, otrąbili po kraju, że Napoleona powiesili w Egipcie mamelucy, jak na to z tylu tytułów zasługiwał.

Między tymi, którzy zaszyli się w swoich zamkach, a teraz wrócili dyszący zemstą, margrabia del Dongo wyróżniał się zjadłością; zacierzenie to wysunęło go na czoło stronnictwa. Ci panowie, bardzo zacni ludzie, kiedy się nie bali, ale drżący wciąż ze strachu, zdołali opętać austriackiego generała. Pocziwina dał w siebie wmówić, że surowość jest wysoką polityczną mądrością, i kazał uwięzić stu pięćdziesięciu patriotów; byli to najtężsi ludzie ówczesnych Włoch.

Niebawem wywieziono ich do Cattaro i wtrącono do podziemnych grot, gdzie wilgoć, a zwłaszcza brak chleba – uporały się rychło z łajdakami!

Margrabia del Dongo otrzymał wysokie stanowisko, że zaś do innych pięknych zalet łączył brudne skąpstwo, chwalił się publicznie, że nie posyła ani talara siostrze, hrabinie Pietranera, która, wciąż szalenie zakochana, nie chciała opuścić męża i przymierała z nim głodem we Francji. Dobra margrabina była w rozpacz; wreszcie udało jej się wykraść kilka brylancików ze swoich kosztowności, które mąż odbierał jej co wieczór, aby je zamknąć pod łóżkiem w żelaznej kasie; margrabina wniosła mężowi osiemset tysięcy franków posagu, a dostawała osiemdziesiąt franków miesięcznie na osobiste wydatki. Przez trzydzieści miesięcy, które Francuzi byli poza Mediolanem, owa tak lękliwa kobieta znalazła pozory, aby nie zdejmować czarnej sukni.

Musimy wyznać, iż za przykładem wielu poważnych autorów zaczęliśmy historię naszego bohatera na rok przed jego urodzeniem. Główną tą osobą jest w istocie nie kto inny niż Fabricio Valserra, *marchesino*<sup>12</sup> del Dongo, jak mówią w Mediolanie. Raczył właśnie przyjść na świat w chwili, gdy wypędzano Francuzów, i był dzięki trafowi urodzenia drugim synem margrabiego del Dongo, owego magnata, którego bladą twarzą, oblesny uśmiech i bezgraniczną nienawiść do nowych prądów już znacie. Cały majątek rodzinny przepisano na starszego syna, Ascania del Dongo, który był godnym wizerunkiem ojca. Miał osiem lat, a Fabricio dwa, kiedy nagle ów generał Bonaparte, o którym wszyscy dobrze urodzeni ludzie sądzili, że wisi od dawna, zeszedł z Góry Świętego Bernarda. Wszedł do Mediolanu; chwila ta jest czymś jedynym w historii: wyobraźcie sobie lud oszalały miłością. W kilka dni potem Napoleon wygrał bitwę pod Marengo. Reszty nie trzeba mówić. Upojenie mediolańczyków doszło do szczytu; ale tym razem kojarzyło się z myślą o zemście: nauczono ten dobry lud nienawiści. Niebawem sprowadzono garstkę owych patriotów, którzy zdołali przetrwać pobyt w grotach Cattaro<sup>13</sup>; powrót ich był narodowym świętem. Ich blade twarze, wielkie, zdziwione oczy, wychudłe członki stanowiły kontrast z buchającą ze wszystkich stron radością. Przybycie ich było sygnałem odjazdu dla najbardziej skompromitowanych rodzin. Margrabia del Dongo uciekł jeden z pierwszych do zamku w Grianta. Naczelnicy wielkich rodów dyszeli nienawiścią i strachem; natomiast żony ich i córki pamiętały uciechy pierwszego pobytu Francuzów i żałowały Mediolanu oraz wesołych balów, które tuż po Marengo zaczęły się w „Casa Tanzi”. Wkrótce po zwycięstwie generał francuski, utrzymujący ład w Lombardii, spostrzegł, że wszyscy dzierżawcy i wszystkie staruszki na wsi zamiast być olśnieni zdumiewającym zwycięstwem pod Marengo, które zmieniło losy Włoch i odzyskało trzysta fortec w jednym dniu, pamiętają jedynie prorocstwo świętego Giovity, pierwszego patrona Brescji. Wedle tych świętych słów pomyślność Francuzów i Napoleona miała się skończyć ściśle w trzysta tygodni po Marengo. Pewnym usprawiedliwieniem dla margrabiego del Dongo i całej zgrai dających się szlachciurów jest to, że szczerze, bez obłudy wierzyli w prorocstwo. Wszyscy ci ludzie nie przeczytali w życiu ani czterech ksiązek; gotowali się otwarcie wrócić do Mediolanu po trzynastu tygodniach, ale każdy dzień zaczynał się nowym postępem sprawy Francuzów. Wróciwszy do Paryża, Napoleon ocalił roztropnymi dekretemi rewolucję wewnątrz kraju, jak ją ocalił pod Marengo przed cudzoziemcami. Wówczas szlachta lombardzka, zaszyta w swoich zamkach, doszła do przekonania, że źle pojęła zrazu przepowiednię świętego patrona Brescji: miał na myśli nie trzysta tygodni, ale trzysta miesięcy. Trzysta miesięcy upłynęło, a powodzenie Francuzów zdawało się rosnąć z każdym dniem.

Prześliznijmy się po dziesięciu latach postępu i szczęścia, od 1800 do 1810. Fabricio przebył je w zamku Grianta, bijąc się na kułaki z wiejskimi chłopakami i nie ucząc się niczego, nawet czytać. Później posłano go do kolegium ojców jezuitów w Mediolanie. Stary margrabia życzył sobie, aby syna uczono łaciny nie na owych starych autorach bajających wciąż o republice, ale na wspaniałej książce, zdobnej przeszło stu rycinami, arcydziele mistrzów XVII wieku; była to łacińska genealogia Valserrów, margrabiów del Dongo, wydana w 1650 roku przez Fabrycego del Dongo, arcybiskupa parmeńskiego. Ponieważ wielkość Valserrów urosła przeważnie z wojenki, ryciny przedstawiały mnogo bitew; raz po raz widziało się jakiegoś bohatera tego nazwiska tego kropiącego mieczem. Książka ta podobała się wielce chłopcu. Matka, która go ubóstwiała, uzyskiwała od czasu do czasu pozwolenie odwiedzania go w Mediolanie; ale mąż nie dawał jej nigdy grosza na te podróże: pożyczala jej bratowa, owa miła hrabina Pietranera. Po powrocie Francuzów hrabina stała się jedną z najświetniejszych dam na dworze księcia Eugeniusza, wicekróla Italii<sup>14</sup>.

---

<sup>12</sup> *marchesino* (wł.) – wym.: *markezino*. Zwyczajem tego kraju, zapożyczonym z Niemiec, tytuł ten dostają wszyscy synowie markiza; *contino*: wszyscy synowie hrabiego; *contessina*: wszystkie córki hrabiego, itd. [przypis autorski]

<sup>13</sup> *Cattaro*, dziś *Kotor* – miasto w dzisiejszej Czarnogórze, w Dalmacji, do którego w 1801 r. deportowano 38 patriotów włoskich. [przypis redakcyjny]

<sup>14</sup> *Eugeniusz de Beauharnais* (1781–1824) – pasierb Napoleona, osadzony przez niego na tronie Włoch (1805–1814). [przypis redakcyjny]

Kiedy Fabricio odbył pierwszą komunię, hrabina uzyskała od margrabiego, wciąż dobrowolnego wygnańca, aby jej wolno było czasem zabierać chłopca z kolegium. Wydawał się jej oryginalny i inteligentny; był nieco poważny, ale przy tym ładny chłopiec, wcale na miejscu w salonie modnej kobiety; zresztą straszliwy nieuk, ledwie umiejący pisać. Hrabina, biorąca każdą rzecz bardzo gorąco, przyrzekła swoje poparcie przełożonemu zakładowi, jeżeli bratanek jej Fabricio będzie robił zadziwiające postępy i z końcem roku otrzyma wiele nagród. Aby mu ułatwić ich zdobycie, posyłała po niego w sobotę wieczór i często oddawała go jego mistrzom aż we środę lub czwartek. Jezuiti, mimo iż darzeni sympatią przez księcia-wicekróla, byli wygnani z Włoch mocą praw krajowych; toteż przełożony kolegium, sprytny człowiek, zdawał sobie sprawę z korzyści, jakie mógł wyciągnąć ze swoich stosunków z kobietą wszechmocną na dworze. Ani mu w głowie było żalić się na swobody Fabrycego, który mimo iż większy nieuk niż kiedykolwiek – otrzymał z końcem roku pięć pierwszych nagród. Za tę cenę świetna hrabina Pietranera w towarzystwie męża, generała gwardii, oraz kilku dostojników dworu zaszczyliła swą obecnością ceremonię rozdawania nagród u ojców jezuitów.

Ksiądz prefekt otrzymał od swych przełożonych wyrazy uznania.

Hrabina prowadziła bratanka na świetne zabawy, wypełniające zbyt krótkie panowanie miłego księcia Eugeniusza. Zrobiła go na własną rękę oficerem huzarów i Fabrycy mając dwanaście lat nosił ten mundur. Jednego dnia hrabina, zachwycona jego zgrabną figurką, poprosiła dlań księcia o miejsce pazia, co oznaczałoby pojednanie del Dongów z nowym rządem. Nazajutrz musiała użyć wszystkich swoich wpływów, aby wicekról raczył nie pamiętać o tej prośbie, której brakowało jedynie pozwolenia ojca przyszłego pazia; tego pozwolenia ojciec odmówił z publicznym rozgłosem. Po tym szaleństwie margrabia, oburzony i wściekły, znalazł pozór, aby odwołać młodego Fabrycego do Grianta. Hrabina gardziła bratem z całej duszy; uważała go za mantykę i głupca, przy tym za człowieka, który byłby zły, gdyby miał władzę po temu. Ale przepadała za Fabrycem; po dziesięciu latach zerwanych stosunków napisała do margrabiego z prośbą o zostawienie jej bratanka: list został bez odpowiedzi.

Wracając do tego olbrzymiego pałacu, zbudowanego przez najbardziej wojowniczych przodków, Fabrycy nie umiał nic prócz musztry i jazdy konnej. Często hrabia Pietranera, równie rozkochany w dzieciaku jak jego żona, sadzał go na koniu i brał z sobą na paradę.

Wróciwszy do Grianta Fabrycy, z oczami jeszcze czerwonymi od łez wylanych przy rozstaniu z pięknymi salonami ciotki, znalazł jedynie namiętne pieszczoły matki i sióstr. Margrabia siedział zamknięty w swoim gabinecie ze starszym synem, marchesino Ascaniem. Sporządzali szyfrowane listy, które miały zaszczyt wędrować do Wiednia; ojciec i syn zjawiali się jedynie w godzinach posiłku. Margrabia powtarzał ostentacyjnie, że uczy swego spadkobiercę prowadzenia podwójnej buchalterii z poszczególnych majątków. W rzeczywistości margrabia nadto był zazdrosny o swoją władzę, aby wtajemniczać w te rzeczy syna, niewątpliwego dziedzica majoratu. Używał go do szyfrowania depeesz, długich na piętnaście lub dwadzieścia stronic, które parę razy na tydzień wyprawiał do Szwajcarii, skąd kierowano je do Wiednia. Margrabia silił się przedstawić swoim prawym władcom wewnętrzny stan Włoch, którego sam nie znał; mimo to listy jego miały powodzenie. Oto jak: za pośrednictwem tajnego agenta margrabia kazał liczyć na gościńcu liczbę żołnierzy jakiegoś francuskiego lub włoskiego pułku, który zmieniał garnizon, i zdając sprawę dworowi wiedeńskiemu nieodmiennie uszczuplał liczbę żołnierzy o jedną czwartą. Listy te, niezdarne zresztą, miały tę zaletę, że przeczyły innym, prawdziwym, i tym samym podobały się monarsze. Toteż na krótko przed przybyciem Fabrycego margrabia otrzymał wysoki order: był to piąty zdobiący jego szambelański mundur. Co prawda, ku swemu strapieniu, nie śmiał włożyć tego munduru poza swoim gabinetem; ale nie pozwalał sobie nigdy podyktować depeesz nie przywdziawszy tego haftowanego kostiumu strojnego wszystkimi orderami. Inaczej miałby uczucie, że dopuszcza się nieuszanowania.

Matka oczarowana była synem. Ale zachowała zwyczaj pisywania parę razy do roku do generała hrabiego d'A...; było to obecne nazwisko porucznika Roberta. Margrabina nie umiała kłamać tym, których kochała: wzięła na egzamin syna i przeraziła się jego nieuctwem.

„Jeżeli mnie uderzają luki jego wykształcenia – myślała – mnie, która nie umiem nic, Robert, taki uczony, załamałby ręce nad tym wychowaniem: dziś trzeba wiele nauki.” Nie mniejszym zdumieniem przejęło ją, że Fabrycy wziął serio wszystkie pojęcia religijne, którymi go karmiono u jezuitów. Mimo że sama bardzo pobożna, zlekła się fanatyzmu dziecka. „Jeżeli margrabia zrozumie, jak można wyzyskać ten system wychowania, wydrze mi miłość syna.” Płakała długo i czułość jej dla Fabrycego wzrosła jeszcze.

Życie w tym zamku, zaludnionym paroma dziesiątkami służby, było bardzo smutne; toteż Fabrycy spędzał dnie na polowaniu lub w łódce na jeziorze. Niebawem zawiązał stosunki z woźnicami i stajennymi; wszyscy byli fanatycznymi stronnikami Francuzów i drwili sobie otwarcie z lokajów-bigotów pełniących służbę przy osobie margrabiego lub jego starszego syna. Główny powód do śmiechu z tych poważnych osobistości był ten, że się pudrowali na wzór swoich panów.

## Rozdział drugi

... *Wówczas gdy Wesper zacienia nam oczy*<sup>15</sup>,  
*Upojony przyszłością, w niebiosów roztoczy*  
*Wzrok topię, w której jasno kreśli ręka boża*  
*Wszelakiego stworzenia ścieżki i bezdroża.*  
*On bowiem, z wyżyn swoich patrząc na nas – ludzi,*  
*Czasem wskazywać drogę litośnie się trudzi*  
*Gwiazdami niebieskimi – to litery jego —*  
*Wróżąc nam przyszły obrót dobrego i złego;*  
*Lecz ludzie, przytłoczeni i ziemią, i zgonem,*  
*Nie czytają, tym pismem gardząc poświęconem.*

Ronsard

Margrabia czuł niepokonany wstręt do oświaty. „Myślenie – powiadał – zgubiło Włochy.” Nie wiedział, jak pogodzić ten święty wstręt do nauki z kształceniem Fabrycego, tak świetnie zaczęty u jezuitów. Aby możliwie ograniczyć niebezpieczeństwo, polecił zacnemu księdzu Blanès, proboszczowi w Grianta, aby ćwiczył dalej Fabrycego w łacinie. Musiałby do tego sam proboszcz znać ten język; otóż miał go w głębokiej wzdardzie, wiedza jego ograniczała się do recytowania modlitw, których sens umiał mniej więcej wyłożyć swoim owieczkom. Mimo to proboszcz budził szacunek, a nawet lęk w całej okolicy; zawsze powiadał, że słynne proroctwo świętego Giovity, patrona Brescji, nie ziści się w trzynastu tygodniach ani nawet w trzynastu miesiącach. W gronie zaufanych przyjaciół dodawał, że tę cyfrę *trzyznaście* należy wykładać w sposób, który zdziwiłby wielu ludzi, gdyby wolno było go wyjawić (1813).

Ksiądz Blanès, osobistość odznaczająca się uczciwością i cnotami iście *pierwotnymi*, niegłupi przy tym człowiek, spędzał noce na dzwonnicy; miał świeka na punkcie astrologii. Spędziwszy dzień na obliczaniu położenia gwiazd, część nocy obracał na śledzenie ich na niebie. Ubogi księżyna nie miał innego przyrzędu prócz długiej tekturowej rury. Można sobie wyobrazić, jaką wzdardę dla nauki języków żywił człowiek, który trawił życie na dochodzeniu ścisłej epoki upadku mocarstw oraz wstrząśnień zmieniających postać świata. „Czegóż więcej dowiedziałem się o koniu – powiadał do Fabrycego – przez to, że mnie nauczono, iż po łacinie nazywa się *equus*?”

Wieśniacy bali się księdza Blanès, jako czarnoksiężnika; on zaś dzięki strachowi, jaki budziły jego posiedzenia na dzwonnicy, bezpieczny był od kradzieży. Okoliczni księża, zazdrośni o jego wpływ, nienawidzili go; margrabia del Dongo gardził nim po prostu, bo za wiele mędrkował jak na człowieka niskiego stanu. Fabrycy ubóstwiał go: z miłości dla niego spędzał całe wieczory na olbrzymich dodawaniach i mnożeniach. Następnie szedł z nim na dzwonnice; była to wielka łaska, której ksiądz Blanès nie użyczał nikomu; ale lubił chłopca za jego prostotę. „Jeżeli się nie zrobisz obłudnikiem – powiadał – może wyrośniesz na człowieka.”

Parę razy na rok Fabrycy, nieustraszony i zapamiętały w zabawach, omal nie utonął w jeziorze. Był wodzem wszystkich wypraw, jakie podejmowały urwisy z Grianty i Cadenabii. Malcy postarali się o parę kluczyków i kiedy noc była bardzo ciemna, silili się otworzyć z kłódek łańcuszki, którymi łodzie były przymocowane do nadbrzeżnych drzew lub kamieni. Trzeba wiedzieć, że na Como rybacy zakładają martwe wędkę w znacznej odległości od brzegu. Górny koniec sznurka przywiązany jest

---

<sup>15</sup> *Wówczas gdy Wesper zacienia nam oczy* – Fragment *Elegii XVII* Ronsarda; *Wesper* – planeta Wenus, czyli „gwiazda wieczorna”. [przypis tłumacza]

do deseczki z korkiem, giętka zaś gałązka leszczyny, umocowana na tej deseczce, opatrzona jest dzwonkiem, który dzwoni, skoro ryba chwyciwszy się na haczyk szarpie sznurek.

Głównym celem tych nocnych wypraw, którymi dowodził Fabrycy, była inspekcja martwych wędek, zanim rybacy usłyszą sygnał, jaki dawały małe dzwoneczki. Wybierali na te niebezpieczne wyprawy porę burzliwą i puszczali się nad ranem, na godzinę przed świtem. Siadając do łódki malcy mieli uczucie, że narażają się na największe niebezpieczeństwo, i to była piękna strona ich czynu; naśladowując swych ojców, odmawiali pobożnie *Zdrowaś*. Otóż zdarzało się, iż w chwili wyjazdu, tuż po odmówieniu pacierza, Fabrycy widział jakiś znak. Był to nawyk wyniesiony ze studiów astronomicznych księdza Blanès, w którego przepowiednie zresztą nie wierzył. W młodej jego wyobraźni znaki te zwiastowały z pewnością powodzenie albo niepowodzenie; że zaś umiał zdobyć wpływ na towarzyszy, niebawem cała gromada nawykła do tych wróżb tak, iż kiedy w chwili odjazdu ujrzeli na brzegu księdza lub kiedy po lewej ręce wzbił się w powietrze kruk, czym prędzej zakładali kłódkę z powrotem i biegli do domu spać. Tak więc ksiądz Blanès nie udzielił Fabrycemu swojej dość trudnej wiedzy, ale bezwiednie zaszczerpił mu nieograniczoną wiarę w znaki zdolne przepowiedzieć przyszłość.

Margrabia czuł, że jakaś katastrofa jego szyfrowanej korespondencji może go zdać na łaskę siostry: toteż co roku koło świętej Anieli – imię hrabiny Pietranera – Fabrycemu wolno było spędzić tydzień w Mediolanie. Cały rok żył oczekiwaniem lub wspomnieniem tego tygodnia. W tej uroczystej chwili margrabia wręczał synowi na koszty tej politycznej podróży cztery talary i wedle zwyczaju nie dawał nic żonie, która towarzyszyła chłopcu. Ale w wilię wyjazdu kucharz, sześciu lokajów i woźnica z dwoma końmi wyruszyli do Como i codziennie w Mediolanie margrabina miała na swoje rozkazy powóz oraz obiad na dwanaście osób.

Te dasy na nowy porządek rzeczy, jakie uprawiał margrabia del Dongo, były z pewnością bardzo niezabawne, ale miały tę zaletę, iż niepomiernie bogaciły rodziny, które raczyły się na nie skazać. Margrabia, który miał przeszło dwieście tysięcy funtów renty, nie wydawał ani czwartej części: żył nadzieją. Przez trzynaście lat, od 1800 do 1813 roku, wierzył niezłomnie, że Napoleon padnie przed upływem pół roku. Można sobie wyobrazić jego upojenie, kiedy z początkiem 1813 roku dowiedział się o klęsce nad Berezyną! Zdobycie Paryża i upadek Napoleona omal nie przyprawiły go o utratę zmysłów; odtąd pozwalał sobie na grubiańskie wycieczki przeciw żonie i siostrze. Wreszcie po czternastu latach oczekiwania doznał tej niewymownej radości, iż ujrzął austriackie wojska wkraczające do Mediolanu. W myśl rozkazów otrzymanych z Wiednia generał austriacki powitał margrabiego del Dongo z oznakami wysokiego szacunku; ofiarowano mu skwapliwie jedno z naczelnych stanowisk w rządzie, co przyjął niby zapłatę długu. Starszy syn otrzymał stopień porucznika w jednym z najpiękniejszych pułków cesarskich; ale młodszy nie chciał za nic przyjąć ofiarowanej mu rangi kadeta. Tryumf ten, którym margrabia sycił się z rzadką arogancją, trwał ledwie kilka miesięcy i skończył się upokarzającą klęską. Margrabia nigdy nie odznaczał się bystrością, czternaście zaś lat na wsi, w otoczeniu służby, rejenta i lekarza, w połączeniu ze zgryźliwą starością, która położyła na nim swoją rękę, uczyniły zeń człowieka zupełnie nieudolnego. Otóż pod rządem austriackim niepodobna utrzymać się na wybitnym stanowisku bez owego talentu, którego wymaga powolna i zawiła, ale bardzo racjonalna gospodarka tej starej monarchii. Bąki, jakie strzelał margrabia del Dongo, gorszyły urzędników, a nawet tamowały bieg spraw. Jego ultramonarchiczne odezwania się drażniły ludność, którą rząd pragnął trzymać w sennej obojętności. Jednego dnia margrabia dowiedział się, że J. C. Mość raczyła miłościwie przyjąć jego dymisję z urzędu, równocześnie zaś nadała mu miejsce *drugiego wielkiego majordoma* Królestwa Lombardzko-Weneckiego<sup>16</sup>. Ta okrutna niesprawiedliwość oburzyła go do żywego; on, który tak nienawidził wolności prasy, wydrukował w gazecie list do przyjaciela. Wreszcie napisał do cesarza,

---

<sup>16</sup> *Królestwo Lombardzko-Weneckie* – Królestwo Lombardzko-Weneckie powstało na mocy postanowień kongresu wiedeńskiego w 1815 r. [przypis redakcyjny]

że ministrowie go zdradzają i że są prostymi jakobinami. To uczyniwszy wrócił smutnie do zamku Grianta. Miał jedną pociechę. Po upadku Napoleona pewne znaczne osobistości w Mediolanie kazały zamordować na ulicy hrabiego Prina, eks-ministra króla włoskiego, człowieka wysokiej wartości. Hrabia Pietranera naraził życie, aby ocalić ministra, którego zatłuczono parasolami i którego kaźń trwała pięć godzin. Pewien ksiądz, spowiednik margrabiego del Dongo, mógł ocalić hrabiego Prina, gdyby mu był otworzył furkę kościoła San Giovanni, koło której wleczono nieszczęsnego ministra, porzuconego na chwilę w rynsztoku, ale z urąganiem odmówił otwarcia bramy. Otóż w pół roku później margrabia miał to zadowolenie, że uzyskał dla księdza piękny awans.

Nienawidził hrabiego Pietranera, swego szwagra, który nie mając ani pięćdziesięciu ludwików renty ośmielał się być szczęśliwy, pozwalał sobie dochowywać wiary temu, co kochał całe życie, i miał to zuchwalstwo, aby głosić zasady sprawiedliwości bez względu na osobę, co w oczach margrabiego było bezwstydnym jakobinizmem. Hrabia nie zgodził się wejść w służbę austriacką; wyzyskano tę odmowę i w parę miesięcy po śmierci hrabiego Prina te same osobistości, które opłaciły morderców, uzyskały, że generała Pietranera wtrącono do więzienia. Na to hrabina, jego żona, uzyskała paszport i zażądała pocztowych koni, aby jechać do Wiednia i powiedzieć prawdę cesarzowi. Mordercy hrabiego Prina zlekli się; jeden z nich, krewny pani Pietranera, przyniósł jej o północy, na godzinę przed jej wyjazdem do Wiednia, rozkaz uwolnienia dla męża. Nazajutrz generał austriacki wezwał hrabiego Pietranera, przyjął go z honorami i zapewnił, że emerytura jego będzie uregulowana niebawem w sposób najprzystojniejszy. Dzielny generał Bubna, człowiek rozumny i zacny, wstydił się wyraźnie zamordowania Priny i uwięzienia hrabiego.

Po tej burzy, zażegnanej przez niezłomny charakter hrabiny, małżonkowie żyli jako tako z pensji, którą dzięki poleceniu generała Bubna rychło wyznaczono.

Szczęściem hrabina była od kilku lat w bliskiej przyjaźni z młodym człowiekiem, bardzo bogatym; ten, będąc również serdecznym przyjacielem hrabiego, oddał im na usługi najpiękniejszy angielski zaprzęg w Mediolanie, łożę w teatrze „La Scala” i pałac na wsi. Ale hrabia był to człowiek świadom swej wartości, o duszy gorącej, dzielny, unosił się łatwo i wówczas pozwalał sobie na niebaczne słowa. Jednego dnia, kiedy polował z paroma młodymi ludźmi, jeden z nich, który służył swego czasu pod innymi sztandarami, pozwolił sobie na żarciki z żołnierzy Republiki Cisalpińskiej<sup>17</sup>; hrabia dał mu w twarz, przyszło natychmiast do pojedynku i hrabia, który był sam wśród młodych ludzi, padł. Wiele było gadania o tym pojedynku dziwnego nabożeństwa, tak iż osoby, które w nim brały udział, uznały za właściwe wyjechać do Szwajcarii.

Hrabina nie знаła owego głupiego hartu zwanego rezygnacją, hartu głupca, który daje się powiesić, nie pisnąwszy słowa. Rozjuszona śmiercią męża, żądała, aby Limercati, ów bogaty młody człowiek, jej przyjaciel, puścił się również do Szwajcarii i aby spoliczkował mordercę hrabiego Pietranera lub wygarnął doń z karabinu.

Limercati uznał ten projekt za szczyt nedorzeczności, hrabina zaś spostrzegła, że wzgarda zabiła w niej miłość. Zdwoiła swą zalotność wobec Limercatiego; chciała rozplomienić jego namiętność, następnie zaś rzucić go i pogрузić w rozpacz. Aby ten plan zemsty uczynić zrozumiałym we Francji, powiem, iż w Mediolanie, kraju bardzo odległym od nas, ludzie wpadają jeszcze w rozpacz z miłości. Hrabina, która mimo swej żaloby zaćmiewała wciąż urodą wszystkie rywalki, zaczęła kokietować kwiat młodzieży mediolańskiej; jeden z młodzieńców, hrabia N..., który zawsze utrzymywał, że Limercati jest nieco przyciężki dla tak uroczej kobiety, zakochał się w hrabinie do szaleństwa. Wówczas napisała do dawnego kochanka:

Chce pan raz w życiu postąpić jak człowiek inteligentny?  
Wyobraź pan sobie, że go nigdy nie znałam.

---

<sup>17</sup> *Republika Cisalpińska* – państwo utworzone przez Bonapartego w 1797 r. we Włoszech, ze stolicą w Mediolanie. [przypis redakcyjny]

Pozostaję, może z odrobiną wzdargy, uniozoną pańską służą.  
*Gina Pietranera*

Przeczytawszy ten bilecik, Limercati wyjechał do jednej ze swoich posiadłości: miłość jego wzmogła się do szaleństwa, chciał sobie palnąć w łeb, rzecz niesłychana w tym kraju, który wierzył w piekło. Nazajutrz napisał do hrabiny, ofiarowując jej swą rękę wraz z dwustu tysiącami renty. Odesłała mu list, nie rozpieczętowany, przez grooma hrabiego N... Po czym Limercati spędził trzy lata na wsi, wracając co dwa miesiące do Mediolanu, ale nie mając odwagi tam zostać, zanudzając przyjaciół swą namiętną miłością do hrabiny oraz szczegółowym opisem łask, jakimi go darzyła niegdyś. W początkach dodawał jeszcze, że hrabia N... to jej zguba i że taki związek przynosi jej hańbę.

Fakt jest, że hrabina nie kochała hrabiego N... i oznajmiła mu to, skoro była zupełnie pewna rozpaczy Limercatiego. Hrabia, człowiek wytrawny, błagał ją, aby nie rozgłaszała tej smutnej nowiny. „Jeżeli będzie pani tak łaskawą – rzekł – aby mnie przyjmować nadal z pozorami wszystkich względów, jakie się ma dla swego kochanka, zdołam się może przyzwocie ulokować w jakim sercu.”

Po tym heroicznym oświadczeniu hrabina nie chciała już koni ani łoża hrabiego N... Ale od piętnastu lat przywykła do najwykwintniejszego życia; stała w obliczu problemu trudnego lub – aby rzec lepiej – niemożliwego do rozwiązania: żyć w Mediolanie z tysiąca pięciuset franków! Opuściła pałac, najęła dwa pokoiki na piątym piętrze, odprawiła służbę, nawet pokojówkę, której miejsce zajęła biedna staruszka dochodząca do sprzątanania. Ofiara ta była w gruncie mniej bohaterska i mniej ciężka, niż nam się zdaje: w Mediolanie ubóstwo nie jest śmieszne i dlatego nie straszy widmem najgorszego z nieszczęść. Po kilku miesiącach tego szlachetnego ubóstwa, oblegana listami Limercatiego, a nawet hrabiego N... który też ofiarował jej swą rękę, stało się, iż margrabia del Dongo, zazwyczaj ohydnie skąpy, pomyślał, że jego nieprzyjaciele mogliby czerpać złośliwy tryumf z nędzy jego siostry. Jak to! Córka del Dongów skazana na to, by żyć z pensyjki wiedeńskiego dworu – tego dworu tak niewdzięcznego!

Napisał do hrabiny, że mieszkanie i przyjęcie godne jego siostry czekają ją w zamku Grianta. Gorąca dusza hrabiny chwyciła się z zapałem myśli o tym nowym życiu; dwadzieścia lat nie gościła w tym czcigodnym zamku wznoszącym się majestatycznie wśród starych kasztanów sadzonych za czasów Sforzów. „Tam – mówiła sobie – znajdę spokój, a w moim wieku, czy to nie jest szczęście? (Ponieważ miała trzydzieści jeden lat, sądziła, że czas jej usunąć się od świata.) Nad tym uroczym jeziorem, nad którym się urodziłam, czeka mnie wreszcie szczęśliwe i spokojne życie.”

Nie wiem, czy się myliła, ale to pewne, że ta płomienna dusza, która tak lekko odrzuciła dwie olbrzymie fortuny, wniosła szczęście do zamku Grianta. Bratanice jej szalały z uciechy. „Wróciłaś mi piękne dni młodości – powtarzała margrabina ściskając ją – w wilię twego przyjazdu miałam sto lat.” Hrabina zaczęła zwiedzać z Fabrycym czarowne okolice Grianty, sławione przez podróżników: wilię Melzi po drugiej stronie jeziora, na wprost niej zamek, skąd widać całe jezioro, poniżej święty gaj Sfondrata oraz śmiało zarysowany cypel, który rozdziela dwie odnogi jeziora, ową rozkoszną odnogę od Como oraz tę drugą, surowszą, która ściele się ku Lecco – wspaniały i uroczy widok, któremu słynna Zatoka Neapolitańska dorównywa, ale go nie przewyższa. Hrabina odnajdywała z upojeniem wspomnienia swej młodości i porównywała je z obecnymi wrażeniami. „Jeziora Como nie otaczają – mówiła sobie – jak Jeziora Genewskiego, owe wielkie płaty ziemi uprawnej wedle najlepszych metod, co tak bardzo przypomina pieniądz i spekulację. Tu na wszystkie strony widzę pagórki niższe i wyższe, porośnięte kępami drzew; ręka ludzka nie zepsuła ich jeszcze i nie nagięła do celów *dochodowych*. Wśród tych pięknie rzeźbionych pagórków, zbiegających się ku jezioru tak malowniczymi płaszczyznami, mogę wskrzesić wszystkie opisy Tassa i Ariosta. Wszystko jest szlachetne i czułe, wszystko mówi o miłości, nic nie przypomina brzydoty cywilizacji. Wioski na stokach wybrzeża kryją się wśród wielkich drzew, ponad które wznoszą się urocze zarysy kościelnych wieżyc. Jeśli jakieś niewielkie półko przetnie od czasu do czasu bukiety kasztanów i dzikich wiśni, oko widzi na nim z lubością rośliny bujniejsze, szczęśliwsze niż gdzie indziej. Za tymi pagórkami,

na których wznoszą się pustelnie kuszące do tego, aby je zamieszkać, zdumione oko widzi szczyty Alp zawsze pokryte śniegiem, a surowa ich powaga przypomina nam niedolę życia w sam raz na tyle, aby potęgować obecną rozkosz. Odległy dźwięk dzwonu jakiejś wioszczyzny ukrytej wśród drzew mile wzrusza wyobraźnię; dźwięki te, biegnąc po wodzie, łagodnieją, przybierają odcień słodkiej melancholii i rezygnacji i zdają się mówić człowiekowi: »Życie ucieka, nie bądźże tak oporny wobec szczęścia, które się nastrecza, śpiesz się spijać je«. Wymowa tych czarownych miejsc, które nie mają równych sobie w świecie, wróciła hrabinie serce szesnastoletniej dziewczyny. Nie pojmowała, jak mogła spędzić tyle lat bez widoku jeziora. „Czyżby – powiadała sobie – szczęście kryło się w zaraniu starości?” Kupiła łódkę, którą Fabrycy, margrabina i ona sama ozdobili własnymi rękami, nie było tam bowiem pieniędzy na nic mimo wspaniałej stopy życia; od czasu niełaski margrabia del Dongo zdwoił arystokratyczny przepych. I tak, aby zyskać dziesięć piędzi gruntu nad jeziorem, koło słynnej alei jaworowej, obok Cadenabia, kazał zbudować groblę, której koszt dochodził osiemdziesięciu tysięcy. Na końcu grobli wznosiła się wedle rysunków sławnego Cagnola kaplica, cała z olbrzymich złomów granitu, w kaplicy zaś Marchesi, modny rzeźbiarz mediolański, budował margrabiemu grób, którego płaskorzeźby miały wyobrażać bohaterские czyny jego przodków.

Starszy brat Fabrycego, marchesino Ascanio, chciał też towarzyszyć paniom w tych wycieczkach, ale ciotka pryskała mu wodą pudrowane włosy i codziennie nowym żarcikiem chłostała jego powagę. Wreszcie uwolnił od widoku swej dużej wypętlonej twarzy wesołą gromadkę, która nie ważyła się śmiać w jego obecności. Uważali go za szpiega margrabiego, trzeba się zaś było liczyć z tym despotą, wciąż wściekłym od czasu swej przymusowej dymisji.

Askaniusz przysiągł się zemścić na Fabrycym.

Raz podczas burzy gromadka znalazła się w niebezpieczeństwie; mimo że było krucho z pieniędzmi, opłacili hojnie obu przewoźników, aby nic nie mówili margrabiemu, który i tak bardzo był nierad z tego, że córki jego biorą udział w tych wyprawach. Zdarzyła się druga burza; na tym pięknym jeziorze szaleją straszne i nieprzewidziane nawałnice; huragany zrywają się nagle z dwóch przeciwległych przesmyków górskich i mocują się z sobą na jeziorze. Hrabina chciała wylądować wśród burzy i grzmotów; obiecywała sobie, że na samotnej niewielkiej skale wśród jeziora będzie miała niezwykle widowisko, otoczona łamiącymi się falami; ale wyskakując z łódki wpadła pod wodę. Fabrycy skoczył, aby ją ratować, i oboje znaleźli się dość daleko od łodzi. Bez wątpienia, topić się to nie jest nic przyjemnego, ale bądź co bądź nuda, mocno zdziwiona, pierzchnęła z tego feudalnego zamku. Hrabina zapaliła się do naiwnego charakteru i do astronomii księdza Blanès. Trochę pieniędzy, które jej zostało po nabyciu łódki, użyto na przygodne kupno teleskopu: codziennie z bratanicami i z Fabrycym sadowiła się na platformie gotyckiej wieży zamkowej. Fabrycy roztaczał swoją wiedzę i spędzali tam wesoło kilka godzin z dala od szpiegów.

Trzeba przyznać, że bywały dni, w których hrabina nie odzywała się do nikogo; przechadzała się pod wyniosłymi kasztanami, w posępnej zadumie; była zbyt inteligentna, aby nie odczuwać niekiedy braku wymiany myśli. Ale nazajutrz śmiała się znów jak wprzódy; to lamentsy bratowej osmucały tę duszę z natury tak czynną. „Czy całą młodość strawimy w tym smutnym zamku?” – wykrzykiwała margrabina.

Przed przybyciem szwagierki nie miała nawet odwagi na takie żale.

Tak spędzono zimę z roku 1814 na 1815. Dwa razy, mimo swego ubóstwa, hrabina bawiła po kilka dni w Mediolanie; zniecił ją cudowny balet Vigana w teatrze „La Scala”, a margrabia nie bronił żonie towarzyszyć jej. Podjęła przy sposobności kwartał szczupłej pensyjki i biedna wdowa po generale pożyczła po parę cekinów przebogatej margrabinie del Dongo. Cudowne były te wycieczki: zapraszało się na obiad starych przyjaciół i szukało się pociechy, śmiejąc się ze wszystkiego – jak istne dzieci. Ta włoska wesołość, pełna gwaru i swobody, pozwalała zatrzeć w pamięci posępny smutek, który fizjonomie margrabiego i starszego syna roztaczały w Grianta. Fabrycy, zaledwie szesnastoletni, doskonale reprezentował głowę domu.

Siódmego marca 1815 roku obie panie dopiero co wróciły z przemiłej wycieczki do Mediolanu; przechadzały się w pięknej alei jaworowej, świeżo przedłużonej po sam brzeg jeziora. Od Como zbliżyła się łódka dając szczególne znaki. Agent margrabiego wyskoczył na brzeg: Napoleon wylądował w Zatoce Juan. Europa, pocziwinka, zdumiała się tym wydarzeniem, które nie zdziwiło margrabiego del Dongo; napisał do swego władcy list pełen wylewów serca, ofiarował mu swoje talenty oraz kilka milionów, powtarzając, że jego ministrowie to jakobini działający w zмовie z paryskimi męnerami.

Ósmego marca o szóstej rano margrabia, ustrojony we wszystkie ordery, przepisywał pod dyktandem starszego syna brulion trzeciej już depeszy; z całą powagą kreślił ją pięknym i starannym pismem na papierze ozdobionym maleńkim portrecikiem władcy. W tej samej chwili Fabrycy kazał się oznajmić hrabinie Pietranera.

– Jadę – rzekł – śpieszę do cesarza, który jest też królem Włoch; on tak kochał twego męża, ciociu! Jadę przez Szwajcarię. Tej nocy w Menagio mój przyjaciel Vasi, ten, co ma sklep z barometrami, dał mi swój paszport; teraz ty mi daj kilka napoleonów, bo ja mam tylko dwa: ale jeżeli trzeba, pójdę pieszo.

Hrabina płakała z radości i lęku.

– Wielki Boże! Czemuż ci to przyszło do głowy! – wykrzyknęła, ściskając ręce Fabrycego.

Wstała, wydobyła z szafy z bielizną starannie ukrytą sakiewkę naszywaną perełkami: było to wszystko, co posiadała na świecie.

– Weź – rzekła – ale na miłość boską, nie narażaj się na śmierć. Cóż zostanie nieszczęśliwej matce i mnie, gdyby ciebie brakło? Co się tyczy zwycięstwa Napoleona, to niemożliwe, moje biedne dziecko: nasi panowie potrafią go zgłodzić. Czyś nie słyszał przed tygodniem w Mediolanie historii dwudziestu trzech projektów zamordowania go, tak doskonale obmyślonych, że uniknął ich jedynie cudem? A wówczas był wszechmocny! Widzisz, że naszym wrogom nie zbywa na dobrych chęciach, aby go zgubić: od jego upadku Francja była niczym. – Hrabina mówiła o losie Napoleona z najwyższym wzruszeniem. – Pozwalając ci śpieszyć doń, poświęcam mu wszystko, co mam najdroższego na świecie – mówiła.

Oczy Fabrycego zwilgły, rozplakał się, ściskając hrabinę, ale ani na chwilę nie zachwiał się w zamiarze. Z zapalem tłumaczył drogiej przyjaciółce racje, które go skłaniały, a które my pozwolimy sobie uważać za nader pocieszne.

– Wczoraj wieczór, siedem minut przed szóstą, przechadzaliśmy się, jak wiesz, nad jeziorem w alei jaworowej poniżej Casa Sommariva i szliśmy w kierunku południowym. Wówczas zauważyłem z dala statek z Como, niosący tę wielką nowinę. Gdy tak patrzyłem na ów statek, nie myśląc o cesarzu i jedynie zazdroszcząc losu tym, którzy mogą podróżować, ogarnęło mnie głębokie wzruszenie. Statek przybił do lądu, agent szepnął coś cicho do ojca, który zbladł i wziął nas na stronę, aby nam oznajmić *straszłą nowinę*. Obróciłem się ku jezioru, aby ukryć łyzy radości, którymi spływały moje oczy! Naraz, na olbrzymiej wysokości, po prawej ręce ujrzałem orła, ptaka Napoleona: płynął majestatycznie, obracając się w stronę Szwajcarii, a tym samym Paryża. „I ja – powiedziałem sobie – przebędę Szwajcarię z szybkością orła, aby ofiarować temu wielkiemu człowiekowi niewiele wprawdzie, ale wszystko, co mogę: pomoc mego wątłego ramienia.” Chciał nam dać ojczyznę i kochał mego wuja. W jednej chwili, nim orzeł znikł mi z oczu, łyzy moje przestały płynąć; dowodem zaś, że owa myśl przyszła mi z góry, jest to, iż ledwo powziąłem ten zamiar, znalazłem w głowie środki skutecznego go. W mgnieniu oka wszystkie smutki, które, jak wiesz, trują moje życie, zwłaszcza w niedzielę, pierzchły, jak gdyby rozpedzone tchnieniem bożym. Ujrzałem obraz Italii podnoszącej się z błota, w którym grają ją Niemcy<sup>18</sup>; wyciągała obolałe, jeszcze na wpół zakute w kajdany ramiona ku swemu królowi i wybawcy. „A ja – powiadałem sobie – nieznanym jeszcze synem tej nieszczęsnej matki, pójdę,

<sup>18</sup> Ujrzałem obraz Italii podnoszącej się z błota, w którym grają ją Niemcy – Bohater mówi te słowa w uniesieniu; przekłada na prozę kilka wierszy sławnego Montiego [Vincento Monti (1754–1828) – włoski poeta, dramaturg i tłumacz; Red. WL]. [przypis autorski]

pójdę umrzeć lub zwyciężyć z tym człowiekiem naznaczonym przez los, z tym, który nas chciał obmyć ze wzgardy, jaką nas obrzucają nawet najbardziej niewolne i spodlone ludy Europy.”

Znasz – dodał ciszej, zbliżając się do hrabiny i wlepiając w nią oczy, z których strzelały płomienie – znasz młody kasztan, który matka moja w rok mego urodzenia sama zasadziła u źródła w lesie, o dwie mile stąd; chciałem go odwiedzić, nim cokolwiek postanowię. „Wiosna ledwo się zaczyna – mówiłem sobie – jeżeli drzewo już puszcza listki, to będzie znak. I mnie trzeba wyjść z odretwienia, w którym schnę w tym smutnym i zimnym zamku.” Nie uważasz, że te stare szerniałe mury, dziś symbol, a niegdyś narzędzie despotyzmu, są wiernym obrazem smutnej zimy? Są dla mnie tym, czym zima dla mego drzewa.

Czy uwierzyłybyś, Gino? Wczoraj wieczór, o wpół do ósmej, przybyłem pod mój kasztan; miał małe listki, już dosyć rozwinięte! Ucałowałem je delikatnie. Skopałem z szacunkiem ziemię dokoła ukochanego drzewa. Natychmiast, ożywiony świeżym zapachem, przebyłem górę, dotarłem do Menagio: trzeba mi było zdobyć paszport do Szwajcarii. Czas leciał, była pierwsza po północy, kiedym się znalazł pod domem Wasiego. Myślałem, że trzeba mi będzie długo się dobijać, nim go zbudzę; ale nie spał, siedział w pokoju z trzema przyjaciółmi. Na moje pierwsze słowo krzyknął: „Idziesz do Napoleona!” – i rzucił mi się na szyję. Tamci również uścisnęli mnie z zapachem. „Czemuż jestem żonaty!” – wzdychał jeden.

Pani Pietranera zamyśliła się; uważała, że trzeba się zdobyć na jakieś perswazje. Gdyby Fabrycy miał bodaj trochę doświadczenia, zrozumiałby, że hrabina sama nie wierzy w argumenty, które wytacza. Ale w braku doświadczenia miał decyzję; ani słuchał tych argumentów! W końcu hrabina ograniczyła się do prośby, aby bodaj uwiadomił matkę o swym zamiarze.

– Powie siostrze i te baby zdradzą mnie ani wiedząc kiedy! – wykrzyknął Fabrycy z odcieniem heroicznej dumy.

– Mówże z większym szacunkiem – rzekła hrabina, uśmiechając się przez łzy – o płci, której będziesz zawdzięczał swój los; bo mężczyźni nigdy nie będą cię lubili: za wiele masz ognia dla poziomych dusz.

Margrabina rozplakała się na wiadomość o dzikim projekcie syna; nie odczuła jego heroizmu i czyniła, co mogła, aby go zatrzymać. Skoro pojęła, że nic w świecie, z wyjątkiem murów więzienia, nie zdołaby go wstrzymać, oddała mu tę trochę pieniędzy, które posiadała; potem przypomniała sobie, że właśnie ma kilka niedużych diamentów, wartości może dziesięciu tysięcy franków, które margrabia powierzył jej wczoraj, aby je dała oprawić w Mediolanie. Siostry weszły w chwili, gdy hrabina zaszywała te brylanciki w podróżne suknie naszego bohatera; nie chciał przyjąć od niebożatek ich paru biednych napoleonów. Siostry były tak zachwycone projektem, ścisnęły Fabrycego z tak hałaśliwą radością, że chwycił parę diamentów jeszcze nie zaszytych i chciał natychmiast jechać.

– Zdradzicie mnie bezwiednie – rzekł. – Skoro mam tyle pieniędzy, nie ma co zabierać rzeczy, dostanę wszystkiego.

Uścisnął drogie istoty i puścił się natychmiast w podróż, nie wstępując nawet do swego pokoju. Szedł tak szybko, wciąż bojąc się konnej pogoni, że wieczorem jeszcze znalazł się w Lugano. Dzięki niebu był na ziemi szwajcarskiej i nie obawiał się już, iż zapłaceni przez ojca żandarmi mogą go ująć na pustym gościńcu. Stamtąd napisał do ojca list: słabotka młokosa, która spotęgowała wściekłość margrabiego. Fabrycy najał konia, przebył Świętego Gotarda i, jadąc bardzo śpiesznie, wszedł w granice Francji przez Pontarlier. Cesarz był w Paryżu. Tu zaczęły się niedole Fabrycego; wyruszył z niezłomnym postanowieniem mówienia z cesarzem; nie przyszło mu do głowy, że to może być rzeczą trudną. W Mediolanie widywał dziesięć razy na dzień księcia Eugeniusza i mógł z nim mówić. W Paryżu co rano chodził na dziedziniec Tuileries przyglądać się rewiom cesarskim; ale ani razu nie mógł się zbliżyć do cesarza. Bohater nasz sądził, że wszyscy Francuzi są jak on głęboko wzruszeni niebezpieczeństwem grożącym ojczyźnie. W gospodzie, w której stanął, przy stole nie robił tajemnicy ze swych projektów i ze swego zapachu; spotkał tam młodych ludzi nader miłych, jeszcze większych entuzjastów od niego, którzy w krótkim czasie zdołali go okraść do ostatniego szeląga. Szczęściem

przez czystą skromność nie wspomniał im o diamentach, które miał od matki. Rano, po hulance, w czasie której okradziono go ostatecznie, kupił dwa piękne konie, zgodził za służącego eks-żołnierza, obecnie stajennego u koniarza, i pełen wzdrygi dla paryskich pyskaczy, puścił się do armii. Nie wiedział nic prócz tego, że gromadzi się w okolicy Maubeuge. Skoro znalazł się na granicy, wzdygnął się na myśl, że miałby się grzać przy ogniu w gospodzie, gdy żołnierze są w biwakach. Mimo perswazji służącego, który miał zapasik zdrowego rozsądku, wmieszał się nierozważnie między pierwsze biwaki na drodze do Belgii. Ledwie dotarł do batalionu obozującego tuż koło gościńca, żołnierze zaczęli się przyglądać temu młodemu *cywilowi*, którego strój w niczym nie przypominał uniformu. Noc zapadała, był bardzo zimny wiatr. Fabrycy zbliżył się do ognia i poprosił o użyczenie mu miejsca, ofiarując zapłatę. Żołnierze spojrzeli po sobie, zdziwieni, zwłaszcza pomysłem zapłaty, i zrobili mu pocziwie miejsce; służący pomógł mu się rozłożyć. Ale kiedy w godzinę później adiutant przechodził koło biwaku, żołnierze opowiedzieli mu o zjawieniu się cudzoziemca lichy mówiącego po francusku. Adiutant zaczął wypytywać Fabrycego, który zaczął prawić o swoim entuzjazmie dla cesarza z bardzo podejrzanym akcentem; na co podoficer ów zaprosił go, aby się z nim udał do pułkownika stojącego kwaterą w sąsiedniej wiosce. Służący Fabrycego zbliżył się z dwoma końmi. Widok ich tak zainteresował adiutanta, że zmienił zamiar i wziął na spytki służącego. Ten stary żołnierz, zgadując od razu plan interlokutora, napomknął o wysokich stosunkach swego pana, wyrażając przekonanie, że nikt chyba nie ma zamiaru *zwędzić* mu jego pięknych koni. Natychmiast żołnierz, przywołany przez adiutanta, wziął go za kołnierz, drugi zaopiekował się końmi, po czym z surową miną adiutant kazał Fabrycemu iść za sobą bez repliki.

Przeprowadziwszy go tak dobrą milę pieszo, w ciemności, którą nieprzeliczone ognie biwaków czyniły tym grubsza, adiutant oddał Fabrycego oficerowi żandarmerii; ten z poważną miną zażądał odeń papierów. Fabrycy pokazał paszport, w którym figurował jako handlarz barometrów *podróżujący z towarem*.

– Cóż za głupcy! – wykrzyknął oficer. – To już za gruby kawał!

Zadał parę pytań naszemu bohaterowi, który zaczął mówić o cesarzu i wolności z najwyższym zapalem, na co oficer żandarmerii parsknął serdecznym śmiechem.

– Do paralusza! Nie jesteś sprytny! – krzyknął. – To już zanadto śmieszne, żeby nam tu nasyłać takich smarkaczy. – I mimo zapewnień Fabrycego, który dowodził na wszystkie sposoby, że w istocie nie jest handlarzem barometrów, oficer odesłał go do więzienia w B..., w sąsiednim miasteczku, dokąd nasz bohater przybył o trzeciej rano, dławiąc się z wściekłości i upadając ze znużenia.

Fabrycy, najpierw zdumiony, a później wściekły, nie rozumiejąc absolutnie nic, spędził trzydzieści trzy długie dni w nędznym więzieniu; pisał list po liście do komendanta placu, żona zaś dozorczy, hoża trzydziestosześcioletnia Flamandka, podejmowała się doręczać te listy. Ale ponieważ nie miała wcale ochoty narażać tak ładnego chłopca – który przy tym płacił wcale dobrze – na rozstrzelanie, bez cerenionii rzucała listy w ogień. Wieczorem, bardzo późno, słuchała cierpliwie skarg więźnia; powiedziała mężowi, że smarkacz ma pieniądze, wskutek czego roztropny dozorca zostawił jej zupełną swobodę. Skorzystała z pozwolenia i zarobiła kilka napoleonów, adiutant bowiem zabrał tylko konie, oficer zaś żandarmerii nie skonfiskował zgoła nic. Pewnego czerwcowego popołudnia Fabrycy usłyszał odległą kanonadę. Biją się wreszcie! Serce zadygotało mu z niecierpliwości. Usłyszał zgiełk w mieście: w istocie dokonywano znacznych przesunień, trzy dywizje przechodziły przez B... Kiedy koło jedenastej wieczór żona dozorczy przysłała dzielić jego niedole, Fabrycy był jeszcze czulszy niż zwykle; po czym, ściskając ją za rękę, rzekł:

– Wypuść mnie stąd; przysięgam na honor, że wrócę do więzienia, jak tylko skończą się bić.

– Ot, bajdurzysz! Masz *gronie*? – wydawał się niespokojny, nie rozumiał słowa „gronie”.

Dozorczyńni widząc ten gest osądziła, że źródło wyschło, i zamiast, jak zamierzała, mówić o dukatach, wspomniała jedynie ofrankach. – Słuchaj – rzekła – jeżeli możesz wyłożyć jakie sto franków, przymknę dubeltowym napoleonem każde oko kaprała, który ma w nocy zmieniać wartę. Nie zobaczysz, jak czmychniesz z więzienia: jeżeli jego pułk ma odmaszerować jutro, przyjmie.

Dobili targu. Żona dozorczy zgodziła się nawet ukryć Fabrycego w swoim pokoju, skąd rano będzie się mógł łatwiej wymknąć. Nazajutrz, przed świtem, roztkliwiona kobieta rzekła do Fabrycego:

– Mój chłopcze, za młody jesteś na takie szpetne rzemiosło: wierzaj mi, nie rób tego więcej!

– Jak to! – powtarzał Fabrycy – więc zbrodnią jest bronić ojczyzny?

– Dajmy już pokój. Pamiętaj zawsze, że ja ci ocaliłam życie: sprawa była zupełnie jasna, czekała cię kulka w łeb. Ale nie mów o tym nikomu, bo byśmy oboje z mężem stracili miejsce; zwłaszcza nie powtarzaj już tych bredni o mediolańskim szlachcicu przebranym za handlarza barometrów: to za głupie. Słuchaj mnie dobrze: dam ci mundur huzara, który przedwczoraj umarł w więzieniu; gadaj jak najmniej, a gdyby cię kwatermistrz albo oficer zagadnęli w ten sposób, że byłbyś zmuszony odpowiedzieć, mów, żeś leżał chory u chłopca, który cię zgarnął przez litość, drżącego z febry w przydrożnym rowie. Jeżeli im to jeszcze nie wystarczy, dodaj, że idziesz do swego pułku. Przytrzymają cię może dla twego akcentu; wówczas powiedz, że jesteś z Piemontu, rekrut, który został we Francji od zeszłego roku itd.

Pierwszy raz po trzydziestu trzech dniach wściekłości Fabrycy zrozumiał zagadkę. Brano go za szpiega. Rozgadał się z żoną dozorczy, która tego rana była bardzo czuła; podczas gdy, uzbrojona igłą, zwięzła mundur huzara, opowiedział zdumionej kobiecie swą historię. Uwierzyła przez chwilę; miał tak naiwny wyraz i tak mu było ładnie za huzara!

– Skoro masz taką ochotę się bić – rzekła wreszcie wespół przekonana trzebaż było przybywszy do Paryża zaciągnąć się do pułku. Zapłaciłbyś butelkę wina kwatermistrzowi, i po wszystkim!

Dała mu wiele dobrych rad na przyszłość; wreszcie o świcie wyprawiła Fabrycego, kazawszy sobie przysiąc po sto razy, że nigdy, co bądź by się stało, nie wymieni jej. Skoro Fabrycy opuścił miasteczko, wędrując rażno z huzarską szablą pod pachą, poczuł skrupuły. „Otom jest w ubraniu i z marszrutą huzara zmarłego w więzieniu, gdzie się podobno znalazł za kradzież krowy i srebrnego nakrycia! – powiedział sobie. – Wszedłem w jego osobowość... i to mimo woli, nie przeczuwając czegoś podobnego! To pachnie więzieniem!... Wróżba jest jasna: czeka mnie dużo złego w więzieniu.”

Nie minęła godzina, jak Fabrycy rozstał się ze swą wybawczynią, kiedy puścił się tak gwałtowny deszcz, iż świeżo upieczony huzar ledwie mógł iść w grubych buciorach nie na jego miarę. Spotkał wieśniaka na lichym koniu; kupił konia, porozumiewając się na migi: dozorczyńni zaleciła mu jak najmniej się odzywać z przyczyny akcentu.

Tego dnia armia wygrawszy bitwę pod Ligny maszerowała na Brukselę; było to w przeddzień Waterloo. Około południa, wśród ciągłej ulewy, Fabrycy usłyszał huk armat; szczęście to sprawiło, iż zapomniał o chwilach rozpacz, jakie przeżył w niezasłużonym więzieniu. Jechał tak do późnej nocy, że zaś nabrał nieco rozsądku, poszukał kwatery w chałupie bardzo odległej od gościńca. Wieśniak lamentował i twierdził, że mu wszystko zabrano; Fabrycy dał mu talara – dostał owsa. „Koń mój nie jest zbyt urodziwy – myślał – ale to nic, mógłby wpaść w oko jakiemu adiutantowi.” Za czym ułożył się w stajni koło niego. Nazajutrz na godzinę przed świtem był na gościńcu i, klepiąc konia po szyi, zdolał go skłonić do truchtu. Koło piątej usłyszał kanonadę: była to przygrywka do Waterloo.

## Rozdział trzeci

Niebawem Fabrycy trafił na markietanki<sup>19</sup>, a serdeczna wdzięczność, jaką czuł dla dozorczyńni w B..., sprawiła, że zwrócił się do nich; spytał jednej, gdzie znajduje się czwarty pułk huzarów, jego pułk.

– Nie masz się co tak śpieszyć, żołnierzyku – rzekła markietanka, wzruszona bladością i ładnymi oczami Fabrycego. – Nie masz dość tęgiej garści na dzisiejszą młockę. Gdybyś jeszcze miał fuzję, nie mówię: mógłbyś z niej wygarnąć nie gorzej od innych.

Rada ta podrażniła Fabrycego; ale daremnie zaciął konia, nie mógł wyprzedzić wózka markietanki. Od czasu do czasu huk stawał się jakby bliższy i utrudniał porozumienie. Fabrycy bowiem był w takim upojeniu, że nawiązał rozmowę. Każde słowo markietanki zdawało jego szczęście. Z wyjątkiem prawdziwego nazwiska i ucieczki z więzienia, opowiedział wszystko tej kobiecie, która zdawała się tak pocziwa.

Była zdumiona; nie umiała zrozumieć tego, co jej opowiadał piękny żołnierzyk.

– Cha! cha! domyślam się! – wykrzyknęła z tryumfem – jesteś młody cywil, zakochany w żonie jakiegoś kapitana z czwartego pułku huzarów. Twoja lubka sprawiła ci ten uniform i gonisz za nią. To pewna, jak Bóg na niebie, żeś nigdy nie był żołnierzem, ale widać jesteś dzielny chłopak i skoro twój pułk jest w ogniu, chcesz się tam pokazać, aby nie uchodzić za kapłona.

Fabrycy zgodził się na wszystko; był to jedyny sposób uzyskania wskazówek. „Nie znam zupełnie obyczaju tych Francuzów – myślał – jeżeli mną ktoś nie pokieruje, znowu się dostanę do więzienia i skradną mi konia.”

– Najpierw, mój mały – rzekła markietanka coraz życzliwiej usposobiona – przyznaj, że nie masz dwudziestu lat: najwyższej siedemnaście.

Była to prawda; Fabrycy przyznał ją chętnie.

– Zatem nie jesteś nawet rekrutem; jedynie dla pięknych oczu damulki idziesz kark skrócić. Dalipan! niezły ma gust. Jeśli masz jeszcze trochę tych dusiów, któreś od niej dostał, trzeba po pierwsze, abyś sobie kupił innego konia: patrz, jak twoja szkapa nastawia uszu, kiedy armata huknie trochę bliżej – to chłopski koń, który cię przyprawi o śmierć, skoro się znajdziesz w szeregu. Ten biały dym, który tu widzisz, o, nad płotem, to ogień rotowy, malcze! Przygotuj się na tęgiego pietra, gdy zaczną gwizdać kule. Radziłabym ci też zjeść coś, póki jeszcze czas.

Fabrycy usłuchał rady i podając markietance napoleona, poprosił, aby sobie wzięła należność.

– To litość bierze! – krzyknęła kobieta – biedny malec, nawet nie umie się rozplącić! Wart byłbyś, abym, schowawszy napoleona, podcięła batem moją Kokotkę; zjadłaby diabła twoja szkapa, nim by ją dogoniła. Cóż byś zrobił, niedojdo, gdybym tak dała nogę? Dowiedz się, że gdy armaty grają, nie pokazuje się nigdy złota. Ot – rzekła – masz tu osiemnaście franków pięćdziesiąt centymów: śniadanie kosztowało cię trzydzieści su. Teraz znajdziemy niebawem jakie konie na sprzedaż. Jeżeli konik mały, dasz za niego dziesięć franków, w żadnym zaś razie nie więcej niż dwadzieścia, choćby to był koń samego świętego Jerzego.

Gawędę przerwała kobieta, która szła przez pola i przecięła im drogę.

– Hop, hop, hej! – krzyknęła do markietanki – hej, Małgoś! Szósty szwoleżerów jest na prawo!

– Musimy się rozstać, mały – rzekła markietanka do naszego bohatera – ale doprawdy żal mi cię; udałeś mi się, psiakość! Nic nie wiesz, nic nie umiesz, zmiotą cię, jak Bóg na niebie! Chodź do szóstego szwoleżerów!

– Wiem dobrze, że nic nie umiem – rzekł Fabrycy – ale chcę się bić i mam zamiar iść tam, aż do tego białego dymu.

---

<sup>19</sup> *markietanka* – kobieta wędrująca za wojskiem, zajmująca się drobnym handlem z żołnierzami, praniem, a niekiedy również świadcząca usługi seksualne. [przypis edytorski]

– Patrz, jak ten koń strzyże uszami! Skoro znajdzie się tam, ta chabeta weźmie na kieł, puści się galopa i Bóg wie dokąd cię zaniecie. Chcesz dobrej rady? Skoro dojdiesz tam, gdzie się biją, podnieś jaką fuzję i ładownicę, stań w szeregu z żołnierzami i rób wszystko jak oni. Ale, Boże drogi, idę o zakład, że ty nie potrafisz nawet odgryźć ładunku.

Fabrycy, bardzo dotknięty, wyznał wszelako nowej przyjaciółce, że zgadła.

– Biedny mały, zabiją go od razu, jak mi Bóg miły! Musisz iść ze mną – rzekła markietanka stanowczo.

– Ja chcę się bić.

– Będziesz się bił, nie bój się; szósty szwoleżerów to chwaty; jest dziś zresztą robota dla wszystkich.

– A kiedyż zajdziemy do pułku?

– Za kwadrans najdalej.

„Pod opieką tej zacnej kobiety – pomyślał Fabrycy – mimo mej nieświadomości nie wezmą mnie za szpiega i będę się mógł bić.”

W tej chwili armaty zagrały mocniej, jeden strzał następował po drugim.

– Istny różaniec – rzekł Fabrycy.

– Można już rozróżnić salwy – rzekła markietanka, podcinając konika, wyraźnie podnieconego bitwą.

Skreśliła na prawo i puściła się na przełaj przez łąki; błota było na pół łokcia; wózek omal nie ugrzązł, Fabrycy musiał go popychać. Koń upadł mu dwa razy; niebawem droga stała się suchsza, biegnąc jedynie ścieżką wśród murawy. Nim Fabrycy ujechał pięćset metrów, koń zatrzymał się; trup leżał w poprzek ścieżki przyprawiając o wzdygnięcie jeźdźca i wierzchowca.

Twarz Fabrycego, zazwyczaj blada, przybrała odcień zielony; markietanka przyjrząwszy się trupowi mruknęła do siebie: „to nie z naszej dywizji.” Następnie, spojrzawszy na naszego bohatera, parsknęła śmiechem.

– Cha, cha! malcze! – wykrzyknęła. – Nie cacy?

Fabrycy stał zdętwiały. Najbardziej uderzyły go straszliwie brudne nogi trupa, którego już obdarto z trzewików, zostawiając mu jedynie nędzne spodnie splamione krwią.

– Chodź no – rzekła markietanka – zjeżdż z konia, musisz się przyzwyczaić. O, patrz! – wykrzyknęła. – Dostał w samą głowę!

Kula, wszedłszy w okolice nosa, wyszła przeciwną skronią, zniekształcając ohydnie trupa; jedno oko miał otwarte.

– Złazże, malcze, i weź go za rękę, zobaczymy, czy cię uściśnie.

Bez wahania, mimo iż wpółomdlały ze wstrętu, Fabrycy zeskoczył z konia, ujął trupa za rękę i wstrząsnął nią mocno; po czym stał chwilę jak martwy: czuł, że nie ma siły wsiąść na konia. Najbardziej przejmowało go wstrętem to otwarte oko.

„Markietanka pomyśli, że jestem tchórz” – myślał z goryczą. Ale niepodobna mu było uczynić kroku; upadłby. Była to straszna chwila; Fabrycy czuł, że bliski jest wymiotów. Markietanka spostrzegła to, skoczyła żwawo i podała mu bez słowa kieliszek wódki, którą wypił jednym haustem; po czym mógł wsiąść na konia i jechał dalej w milczeniu. Markietanka spoglądała nań od czasu do czasu spod oka.

– Będziesz się bił jutro, mały – rzekła wreszcie – dziś zostaniesz ze mną. Sam widzisz, że musisz nawyknać.

– Właśnie że nie; ja chcę się bić zaraz! – wykrzyknął nasz bohater z ponurą zawziętością, która spodobała się markietance. Huk stawał się coraz mocniejszy i jakby bliższy. Strzały zlewały się w jeden basowy pomruk; nie było żadnej pauzy między jednym strzałem a drugim, a na tle tego ciągłego basu, przypominającego łoskot dalekiego strumienia, można było rozróżnić salwy karabinowe.

W tej chwili droga zapuściła się w mały gaik. Markietanka ujrzała kilku naszych biegnących pędem w jej stronę; zeskoczyła lekko z wózka i ukryła się o kilkanaście kroków od drogi. Zaszyła się

w jamę powstałą po wyrwie wielkiego drzewa. „Pokaże się – pomyślał Fabrycy – czy jestem tchórz!” Stał koło opuszczonego wózka i wy dobył szablę. Żołnierze nie zwrócili nań uwagi i przebiegli pod samym lasem, na lewo od drogi.

– To nasi – rzekła spokojnie markietanka, wracając zdyszana do wózka.

– Gdyby twój koń zdolny był galopować, posłałabym cię naprzód aż na skraj lasu, zobaczyć, czy jest kto na równinie.

Fabrycy nie dał sobie dwa razy powtarzać, ułamał witkę topolową, odarł ją z liści i zaczął okładać konia co sił; szkapa puściła się chwilę galopem, po czym wróciła do truchcika. Markietanka wypuściła konia galopem.

– Czekaj no, czekaj! – krzyczała za Fabrycym.

Niebawem znaleźli się oboje w otwartym polu. Dotarłszy na skraj łąki, usłyszeli straszliwy hałas, armaty i karabiny grały ze wszystkich stron, na prawo, na lewo, z tyłu. Ponieważ lasek, z którego wyjechali, rósł na wzgórku na jakie osiem lub dziesięć stóp nad równiną, ujrzeni dość wyraźnie kawałek bitwy; ale właściwie na łączce nie było nikogo. Łąkę tę odcinał, o jakie tysiąc kroków, długi rząd bujnych wierzb; nad tymi wierzbami widać było biały dym, który niekiedy wzbijał się krętą smugą ku niebu.

– Gdybym tylko wiedziała, gdzie jest mój pułk – mówiła markietanka, skłopotana. – Nie możemy jechać przez tę łąkę. Słuchaj, ty – rzekła do Fabrycego – jeżeli natkniesz się na wroga, bierz go od razu sztychem, nie baw się w rąbaninę.

W tej chwili markietanka spostrzegła czterech żołnierzy, o których mówiliśmy wyżej: wychylili się z lasu na równinę na lewo od drogi. Jeden był konno.

– To coś dla ciebie – rzekła do Fabrycego. – Hej tam! – krzyknęła do tego, który był na koniu – chodź no się napić kieliszek wódki. – Żołnierze zbliżyli się. – Gdzie jest szósty szwoleżerów?! – krzyknęła.

– Tam, o pięć minut stąd, nad kanałem, za wierzbami: ubili im pułkownika Macon.

– Chcesz pięć franków za konia?

– Pięć franków! Żartujecie zdrowo, mateczko, oficerski koń! Nie minie kwadrans, jak go sprzedam za pięć napoleonów.

– Daj mi jednego napoleona – rzekła markietanka do Fabrycego.

Następnie zbliżywszy się do żołnierza na koniu rzekła: – Złaz prędko, masz tu napoleona.

Żołnierz zsiadł. Fabrycy wesoło skoczył na siodło, markietanka zdejmowała zawiniątko przypięte do siodła.

– Nuże, pomóżcie mi! – rzekła do żołnierzy. – Pozwalacie się trudzić damie?

Ale ledwie nowy wierzchowiec poczuł tobołek, zaczął stawać dęba.

Fabrycy, mimo że jeździł bardzo dobrze, musiał dołożyć wszelkich starań, aby go opanować.

– Dobry znak – rzekła markietanka – jasnie pan nie przyzwyczajony do tłumoków.

– Generalski koń! – wykrzyknął żołnierz, który go sprzedał – wart dziesięć napoleonów jak bułka za grosz.

– Ma pan jeszcze dwadzieścia franków – rzekł Fabrycy, nie posiadając się z radości, że ma pod sobą tak dziarskie zwierzę.

W tej chwili kula wpadła między wierzby biorąc je z ukosa; Fabrycy ujrzał, jak gałązki, ścięte niby kosą, rozsypały się na obie strony.

– Oho, koncercik się przybliża – rzekł żołnierz, biorąc dwadzieścia franków.

Mogło być około drugiej.

Fabrycy był jeszcze pod wrażeniem niezwykłego widowiska, kiedy gromadka generałów, wiodąc za sobą jakich dwudziestu huzarów przebyła w galopie skraj rozległej łąki; koń Fabrycego zarżał, wspiał się kilka razy, po czym gwałtownie szarpnął uzdę. „Niech i tak będzie!” – pomyślał Fabrycy.

Koń, puszczonej wolno, ruszył z kopyta i dognał eskortę towarzyszącą generałom. Fabrycy naliczył cztery pióropusze. W kwadrans potem ze słów huzara jadącego tuż obok Fabrycy odgadł, że jednym z generałów jest słynny marszałek Ney. Szczęście jego nie miało granic, ale nie mógł zgadnąć który, dałby wszystko, aby się dowiedzieć, ale przypomniał sobie, że nie trzeba się odzywać. Eskorta zatrzymała się przed szerokim rowem pełnym wody z wczorajszego deszczu; rów otoczony był wielkimi drzewami i zamykał od lewej strony łąkę, na której Fabrycy kupił konia. Prawie wszyscy huzarzy zsiadli; brzeg był stromy i śliski, a powierzchnia wody o kilka stóp poniżej łąki. Fabrycy, upojony radością, więcej myślał o marszałku Neyu i o sławie niż o swoim koniu, który, mocno podniecony, wjechał w kanał bryzgając wodą. Jeden z generałów, ochlastany od stóp do głów, zaklął wściekły: „Bydlę zas...e!” Fabrycy uczuł się głęboko dotknięty tą zniewagą. „Czy mogę zażądać satysfakcji?” – myślał. Na razie chcąc dowieść, że nie jest tak niezgrabny, postanowił wjechać na przeciwległy brzeg; ale brzeg był stromy i wysoki na jakie pięć do sześciu stóp. Trzeba było dać za wygraną; za czym puścił się wpław wzdłuż kanału, przy czym koń miał wody po uszy. Wreszcie napotkał łagodniejszy spadek, widocznie dla pojenia koni; w ten sposób dostał się bez trudu na drugą stronę. Znalazłszy się tam pierwszy z całego oddziału jechał dumnie brzegiem, gdy huzarzy szamotali się jeszcze w kanale, dosyć zakłopotani swą pozycją, bo w wielu miejscach woda była na pięć stóp. Niektóre konie, przestraszone, próbowały płynąć, chlapiąc straszliwie dokoła. Wachmistrz zauważył manewr tego smarkacza tak mało wyglądającego na żołnierza.

– Siadać, jest wodopój na lewo! – zawołał. Niebawem wszyscy dostali się na ląd.

Na drugim brzegu Fabrycy znalazł się sam z generałami; huk armat jakby się zdwoił; ledwie wtedy usłyszał owego obryzganego przezeń generała, który krzyknął mu w ucho:

– Skąd wzięłeś tego konia?

Fabrycy był tak zmieszany, że odpowiedział po włosku:

– *L'ho comprato poco fa.* (Kupiłem go przed chwilą.)

– Co ty gadasz?! – krzyknął generał.

Ale huk zrobił się w tej chwili taki, że Fabrycy nie mógł mu odpowiedzieć. Musimy przyznać, że bohater nasz był w tej chwili bardzo mało bohaterski. Strach wszelako zajmował u niego dopiero drugie miejsce; raził go przede wszystkim łoskot, od którego pękały mu bębunki. Eskorta puściła się galopem, jechali szmatem zoranego pola, ciągnącego się za kanałem. Pole było zasłane trupami.

– Raki! raki! – krzyczeli radośnie huzarzy z eskorty. Zrazu Fabrycy nie zrozumiał; wreszcie spostrzegł, że w istocie prawie wszystkie trupy miały czerwone mundury. Jedno przejęło go dreszczem: zauważył, iż wielu nieszczęśliwych czerwonych żyło jeszcze; krzyczeli widocznie o pomoc, ale nikt nie zważał na to. Bohater nasz, pełen ludzkości, dokładał wysiłków, aby koń jego nie nastąpił na żadnego z czerwonych. Eskorta zatrzymała się; Fabrycy, który nie dość pamiętał o żołnierskich obowiązkach, galopował ciągle, wpatrzony w jakiegoś rannego.

– Zatrzymasz ty się, smarkaczu! – wrzasnął za nim wachmistrz. Fabrycy spostrzegł, iż wyprzedził o dwadzieścia kroków generałów, i to właśnie z tej strony, w którą wycelowali lornety. Wracając, aby zająć miejsce za innymi huzarami, którzy zostali o kilka kroków, ujrzał najwyższego z generałów, jak przemawiał do drugiego, również generała, rozkazującym tonem, niemal łając; kłął przy tym obficie. Fabrycy nie mógł powstrzymać ciekawości; mimo rady, jaką mu dała poczciwa żona dozorczy, aby się jak najmniej odzywał, obmyślił bardzo poprawne francuskie zdanie i zagadnął sąsiada:

– Kto jest ten generał, który tak *psioczy* na drugiego?

– Któż ma być? Marszałek.

– Co za marszałek?

– Ney, ciemnego. A gdzieżeś ty służył dotąd?

Fabrycemu, mimo że był tak drażliwy, nie powstało w głowie się obrazić; pograżony w dziecinnym podziwieniu, przyglądał się temu sławnemu *księciu Moskwy*, chwatowi nad chwaty.

Znowu puścili się galopem. W kilka chwil później Fabrycy ujrzał na dwadzieścia kroków przed sobą orną ziemię, ruszającą się w osobliwy sposób. Bruzdy były pełne wody, wilgotna zaś ziemia, tworząca zagony wśród tych bruzd, leciała raz po raz na parę staj w górę czarnymi grudkami. Fabrycy zauważył mimochodem to dziwne zjawisko, po czym myśl jego znów utonęła w dumaniach o sławie marszałka. Usłyszał za sobą nagły krzyk: to dwaj huzarzy padli ugodzeni kulami; kiedy się obejrzał, byli już dwadzieścia kroków za eskortą. Ujrzał rzecz straszną: zakrwawionego konia, który się miotał na roli, płacząc nogi we własnych wnętrznościach – chciał gnać za innymi. Krew spływała do błota.

„Ha! jestem nareszcie w ogniu! – powiadał sobie. – Widziałem ogień! powtarzał z zadowoleniem. – Jestem prawdziwy żołnierz.” W tej chwili eskorta pędziła co koń wyskoczy; bohater nasz zrozumiał, że to kule rozpryskują ziemię ze wszystkich stron. Daremnie rozglądał się, skąd te kule; widział biały dym baterii w ogromnej odległości, ale w ciągłym i jednostajnym warczeniu armat zdawało mu się, że słyszy o wiele bliższe strzały: nic nie rozumiał.

W tej chwili generałowie wraz z eskortą zjechali w dróżkę pełną wody, znajdującą się o pięć stóp poniżej.

Marszałek zatrzymał się i znów wymierzył lornetę. Tym razem Fabrycy mógł mu się przyjrzeć do woli; był to jasny blondyn z dużą czerwoną twarzą.

„Nie mamy takich twarzy we Włoszech – pomyślał. – Ja, taki błydy, z ciemnymi włosami, nigdy nie będę doń podobny” – dodał ze smutkiem. Dla Fabrycego słowa te znaczyły: „Nigdy nie będę bohaterem.” Popatrzył na huzarów: z wyjątkiem jednego wszyscy mieli płowe wąsy. Gdy Fabrycy przyglądał się huzarom z eskorty, oni też patrzyli na niego. Zarumienił się; aby ukryć zmieszanie, zwrócił głowę w stronę nieprzyjaciela. Były to długie szeregi czerwonych ludzi, ale – co go mocno zdziwiło – zdali mu się bardzo mali. Długie ich linie – pułki czy dywizje – widziały mu się nie wyższe niż płoty. Szereg czerwonych jeźdźców przybliżał się ku dróżce, którą marszałek i eskorta posuwali się powoli, chlupiąc w błocie. Dym nie pozwalał nic rozróżnić przed sobą; od czasu do czasu na tej białej mgłę odcinały się sylwetki ludzi w galopie.

Nagle od strony nieprzyjaciela Fabrycy spostrzegł czterech ludzi nadjeżdżających pędem. „Aha! atakują nas” – pomyślał; naraz ujrzał, iż dwaj z tych ludzi rozmawiają z marszałkiem. Jeden generał ze świty puścił się galopem w stronę nieprzyjaciela wraz z dwoma huzarami z eskorty i czterema przybyłymi. Po przebyciu małego kanału Fabrycy znalazł się obok wachmistrza, który wyglądał bardzo dobrodusznie. „Muszę doń zagadać – pomyślał – może przestaną się na mnie gapić.” Długo ważył słowa.

– Proszę pana, pierwszy raz widzę bitwę – rzekł wreszcie – ale czy to prawdziwa bitwa?

– Coś niby. Ale kto ty jesteś?

– Jestem bratem żony kapitana.

– A jakże się ten kapitan nazywa?

Bohater nasz zmieszał się strasznie; nie przewidział tego pytania. Szczęściem marszałek i eskorta znów ruszyli galopem. „Jakie francuskie nazwisko powiedzieć?” – myślał. W końcu przypomniał sobie nazwisko oberżysty, u którego mieszkał w Paryżu; przysunął się z koniem do wachmistrza i krzyknął z całych sił:

– Kapitan Meunier!

Tamten, nie dosłyszawszy z powodu huk armat, odparł:

– A, kapitan Teulier? Poległ, ubito go.

„Brawo! – pomyślał Fabrycy – trzeba udać zasmuconego.”

– Och, mój Boże! – krzyknął i przybrał stroskaną minę.

Wypadli z bocznej dróżki na łąkę; jechali pędem, kule świstały znowu, marszałek skierował się ku dywizji kawalerii. Eskorta znalazła się wśród trupów i rannych; ale widok ten nie robił już takiego wrażenia na naszym bohaterze: miał inne rzeczy na głowie.

Gdy eskorta się zatrzymała, ujrzał wózek markietanki; sympatia do tego czcigodnego korpusu przeważyła wszystko, puścił się wprost ku niej.

– Stójże, psia...! – wrzasnął za nim wachmistrz.

„Co on mi może tu zrobić?” – pomyślał Fabrycy. I dalej galopował w stronę markietanki. Spinając konia miał nadzieję, że to jest owa poczciwa kobiecina, którą poznał dziś rano; koń i wózek były zupełnie podobne, ale właścicielka była zgoła inna; bohaterowi naszemu wydało się, że ma bardzo srogą minę. Podjeżdżając Fabrycy usłyszał, jak mówi: „A taki był piękny mężczyzna!” Świeżo upieczonego żołnierza czekało tam szpetne widowisko: ucinano nogę wyżej kolana młodemu kirasjerowi, ładnemu i roslemu chłopcu. Fabrycy zamknął oczy i wypił duszkiem cztery kieliszki wódki.

– Dobrze ciągniesz, smyku! – krzyknęła markietanka. Wódka natchnęła go myślą: „Trzeba mi kupić sobie życzliwość kolegów z eskorty.”

– Poproszę o resztę wódki – powiedział do markietanki.

– Ale czy ty wiesz – odparła – że w taki dzień jak dziś to kosztuje dziesięć franków?

Dognał eskortę w galopie.

– Cha, cha! przynosisz nam kropelki! – zawołał wachmistrz – po to tak zmykałeś! Dawaj!

Butelka poszła w kolej; ostatni, wypiwszy, rzucił ją w górę.

– Dziękuję, kamracie – krzyknął do Fabrycego.

Wszystkie oczy spojrzały nań przyjaźnie. Spojrzenia te zdjęły Fabrycemu stufuntowy ciężar z serca; było to jedno z owych zbyt delikatnych serc, które potrzebują życzliwości. Wreszcie pozyskał sobie kolegów, jest jakiś węzeł między nimi! Fabrycy odetchnął głęboko, po czym swobodnym głosem rzekł do wachmistrza:

– Jeżeli kapitan Teulier zginął, gdzie ja będę mógł odnaleźć siostrę?

Uważał się za młodego Makiawela, że tak gładko powiedział Teulier zamiast Meunier.

– Dowiesz się wieczorem – odparł wachmistrz.

Eskorta ruszyła i skierowała się ku dywizjom piechoty. Fabrycy czuł się zupełnie pijany; wypił za dużo wódki, kiwał się na siodle; przypomniał sobie maksymę, którą wygłaszała stangret jego matki: „Kiedy się zaproszyło głowę, trzeba patrzeć na uszy konia i robić jak drudzy.” Marszałek zatrzymał się dość długo przy kilku korpusach kawalerii, które posłał do ataku; ale przez dobrą godzinę bohater nasz nie miał świadomości tego, co się dzieje. Czuł się bardzo zmęczony; gdy koń wypuszczał się galopem, osuwał się na siodło jak kawał ołowiu.

Naraz wachmistrz krzyknął na swoich ludzi:

– Nie widzicie, sk... syny, cesarza!

Natychmiast eskorta wrzasła na całe gardło:

– Niech żyje cesarz!

Można się domyślić, że bohater nasz wypatrywał oczy, ale ujrzał tylko galopujących generałów, również na czele eskorty. Długie włosiane ogony u kasków dragoniskich nie pozwoliły mu rozpoznać twarzy. „Tak więc z powodu tej przeklętej wódki nie widziałem cesarza na polu bitwy!” Myśl ta otrzeźwiła go zupełnie.

Zjechali znów w drogę pełną wody, konie chciały pić.

– Więc to cesarz jechał? – spytał sąsiada.

– No tak, ten w mundurze bez żadnych haftów. Jakżeś go mógł nie widzieć? – odparł kamrat przyjaźnie.

Fabrycy miał wielką ochotę puścić się za eskortą cesarza i wmieszać się w nią. Cóż za szczęście jechać w trop tego bohatera, walczyć tuż za nim! Wszak na to przybył do Francji. „Mam prawo to uczynić – myślał – ostatecznie o służbie, którą pełnię, rozstrzygnęła jedynie wola mego konia, który puścił się galopem za tymi generałami.”

Jeżeli namyślił się zostać, skłoniło go do tego życzliwe obejście nowych kamratów; zaczynał się uważać za serdecznego druha tych żołnierzy, z którymi galopował od kilku godzin. Roił sobie, że łączy ich szlachetna przyjaźń bohaterów Tassa i Ariosta. Gdyby się przyłączył do eskorty cesarza, musiałby na nowo zawierać znajomość, może by się nań krzywiono; tamci byli dragoni, a on

miał mundur huzarski, jak cała eskorta marszałka. Sposób, w jaki nań patrzyli teraz, napełniał go szczęściem; zrobiliby wszystko dla swoich kolegów; dusza jego, myśl bujały w obłokach. Wszystko przybrało dlań odmienną fizjonomię, odkąd się czuł między przyjaciółmi; umierał z ochoty zadawania im pytań. „Ale jestem trochę pijany – myślał – nie zapominajmy rad mojej dozorczyńni.” Wyjeżdżając z wąwozu zauważył, że na czele eskorty nie ma już marszałka Neya; generał, za którym jechali obecnie, był wysoki, szczupły, o suchej i groźnej twarzy.

Generałem tym był nie kto inny niż hrabia d'A..., ów porucznik Robert z 15 maja r. 1796. Jakimż szczęściem byłoby dlań ujrzeć Fabrycego del Dongo!

Od dawna już Fabrycy nie widział czarnych grudek ziemi bryzgających pod gradem kul. Przybyli za pułk kirasjerów; usłyszał wyraźnie kule kartaczowe, uderzające o pancerze, ujrzał, jak kilku ludzi pada.

Słońce było już bardzo nisko i miało się ku zachodowi, kiedy eskorta wynurzając się z wąwozu wspięła się na zbocze wysokie na kilka stóp, aby wjechać na orne pole. Fabrycy usłyszał tuż obok dziwny chrzęst; obrócił głowę; czterech ludzi padło z końmi; i sam generał upadł, ale podniósł się, zboczony krwią. Fabrycy patrzył na huzarów leżących na ziemi: trzech czynili jeszcze jakieś konwulsyjne ruchy, czwarty krzyczał: „Wyciągnijcie mnie!” Wachmistrz i paru ludzi zsiadło z koni, aby dać pomoc generałowi, który opierając się na adiutancie, próbował postąpić kilka kroków; silił się oddalić od swego konia, który tarzał się po ziemi wierzgając.

Wachmistrz zbliżył się do Fabrycego. Równocześnie bohater nasz usłyszał tuż za sobą słowa: „To jedyny, który jeszcze może iść galopem.” Uczuł, że ktoś chwyta go za nogi: podniesiono mu je w górę, gdy ktoś podejmował go pod ramiona. Przesadzono go ponad zadem końskim, po czym upuszczono go na ziemię, gdzie znalazł się w pozycji siedzącej.

Adiutant ujął konia Fabrycego za uzdę; generał, wsparty przez wachmistrza, wsiadł i odjechał galopem; sześciu pozostałych jeszcze ludzi pomknęło za nim. Fabrycy wstał, wściekły, i zaczął biec za nimi, krzycząc:

– *Ladri! ladri!* (Złodzieje! złodzieje!)

Zabawny widok człowieka goniącego za złodziejami na polu bitwy.

Eskorta i generał hrabia d'A... znikli niebawem za wierzbam. Fabrycy, pijany z gniewu, dotarł też do tych wierzb; stanął nad głębokim kanałem, który przebył. Następnie, znalazłszy się po drugiej stronie, zaczął kłąć, spostrzegając na nowo, ale z bardzo daleka, generała i eskortę gubiących się w drzewach. „Złodzieje! złodzieje!” – krzyczał teraz po francusku. Zrozpaczony o wiele mniej stratą konia niż zdradą, padł nad rowem, wyczerpany, wpółmartwy z głodu. Gdyby to nieprzyjaciel zabrał mu tego pięknego konia, ani pomyślałby o tym: ale być zdradzonym i okradzionym przez tego wachmistrza, którego tak kochał, i przez tych huzarów, których uważał za braci! – od tego pękało mu serce. Nie mógł się pocieszyć po takim bezceństwie; wsparty o wierzbę, zaczął płakać gorącymi łzami. Wyzbywał się kolejno marzeń o rycerskiej i szczytnej przyjaźni, jaka łączy bohaterów *Jerozolimy wyzwolonej*. Niczym byłoby mu patrzeć na zbliżającą się śmierć w otoczeniu dusz bohaterskich i tkliwych, szlachetnych przyjaciół, którzy ściskają ci dłoń w chwili ostatniego tchnienia! Ale jak tu zachować święty zapał w pobliżu podłych łajdaków! Fabrycy przesadzał jak każdy człowiek oburzony. Po kwadransie roztkliwień zauważył, że kule zaczynają dolatywać do drzew, pod którymi dumał. Wstał i starał się rozeznac w położeniu. Patrzył na łąki zamknięte szerokim kanałem oraz rzędem bujnych drzew, i zdawało mu się, że je poznaje. Spostrzegł korpus piechoty, która przebyła rów i wchodziła w łąkę o ćwierć mili przed nim. „Byłbym usnął – rzekł sobie – cała rzecz w tym, aby się nie dostać do niewoli. I zaczął iść bardzo szybko. W drodze uspokoił się; poznał mundury: pułki, których się bał, że go odetną, były francuskie. Wziął się na prawo, aby się z nimi spotkać.

Z cierpieniem moralnym, że go tak niegodnie zdradzono i okradziono, łączyło się drugie, które dawało mu się czuć coraz żywiej: umierał z głodu. Z największą radością, uszedłszy lub

raczej ubiegłszy jakieś dziesięć minut, spostrzegł, że pułk piechoty, który też szedł bardzo szybko, zatrzymuje się, jakby dla zajęcia pozycji. W kilka minut znalazł się przy pierwszych szeregach.

– Koledzy, nie moglibyście mi sprzedać kawałka chleba?

– Ot, durny, on bierze nas za piekarzy!

Ta szorstka odpowiedź i śmiech, który jej towarzyszył, zgnębiły Fabrycego. Wojna nie była wtedy owym szlachetnym i wspólnym porywem dusz rozkochanych w sławie, jak to sobie wyobrażał z proklamacji Napoleona! Usiadł lub raczej osunął się na trawę; pobladł mocno. Żołnierz, który się doń odezwał i który się zatrzymał o kilka kroków, aby oczyścić chustką zamek u fuzji, zbliżył się i rzucił mu kawałek chleba; po czym widząc, że go nie podnosi, włożył mu ten chleb do ust. Fabrycy otworzył oczy i jadł, nie mając siły mówić. Kiedy wreszcie poszukał oczami żołnierza, aby mu zapłacić, ujrzał się sam; najbliżsi żołnierze byli o sto kroków przed nim i w marszu. Podniósł się machinalnie i szedł za nimi. Wszedł do lasu; miał paść ze znużenia i szukał już okiem wygodnego miejsca; ale jakaż była radość, kiedy poznał najpierw konia, potem wózek, a w końcu znajomą markietankę! Podbiegła, przerażona jego wyglądem.

– Jeszcze parę kroków, malcze – rzekła. – Czyś ranny?... A twój piękny koń? – To mówiąc prowadziła go do wózka i wsadziła go podtrzymując pod ramię. Ledwie znalazłszy się na wózku, bohater nasz, wyczerpany do cna, zasnął głęboko<sup>20</sup>.

---

<sup>20</sup> *Ledwie znalazłszy się na wózku, bohater nasz, wyczerpany do cna, zasnął głęboko* – Para u. P. y E. 15 x 38. [*Para usted Paquita y Eugenia, 15 decembre 1838*: autor dedykuje ten rozdział Paquicie i Eugenie de Montijo. Eugenia de Montijo (1826–1920) została później żoną fr. cesarza Napoleona III; Red. WL]. [przypis autorski]

## Rozdział czwarty

Nic nie mogło go zbudzić: ani strzały karabinowe tuż koło wózka, ani trucht konia, którego markietanka okładała ile wlezie. Pułk, zaatakowany niespodzianie przez chmurę pruskiej kawalerii, po całodziennej wierze w zwycięstwo cofał się lub raczej pierzchał w stronę Francji.

Pułkownik, piękny młodzieniec w opiętym mundurze, następca Macona, padł rozniesiony szablami; następca jego, major, siwowłosa starzec, zatrzymał pułk.

– Psiekrwie jedne – przemówił do żołnierzy – za czasu republiki czekaliśmy z daniem nogi, aż nieprzyjaciół zmusi nas do tego... Brońcie każdej piędzi ziemi i gińcie! – krzyczał i klął na przemian – teraz już ci Prusacy pchają się na naszą francuską ziemię!

Wózek stanął. Fabrycy obudził się nagle. Słońce zaszło od dawna; zdziwił się, że jest prawie noc. Żołnierze biegali w popłochu, który zdziwił naszego bohatera; uważał, że mają rzadkie miny.

– Co to takiego? – rzekł do markietanki.

– Ano nic; dali nam radę, chłopcze; kawaleria pruska bierze nas na szable, tylko tyle. Ten tuman generał myślał zrazu, że to nasi. No, prędko, pomóż mi naprawić uprząż, porwała się.

Parę strzałów karabinowych rozległo się o kilka kroków. Bohater nasz, świeży i wypoczęty, rzekł sobie: „Ależ, w gruncie, ja się przez cały dzień nie biłem: eskortowałem tylko generała.” – Muszę się iść bić – rzekł do markietanki.

– Nie bój się, będziesz się bił więcej, niż będziesz miał ochotę! Zgubieni jesteśmy... Aubry, mój chłopcze – krzyknęła do przechodzącego kaprała, zaglądaj no od czasu do czasu na mój wózek!

– Pan idzie się bić? – spytał Fabrycy kaprała.

– Nie, wkładam lakierki i idę na bal!

– Idę z panem!

– Polecam ci małego huzara! – krzyknęła markietanka – ten cywil ma ducha.

Kapral Aubry szedł, nie mówiąc słowa. Dziesiątek żołnierzy dogonił go pędem: zaprowadził ich za gruby dąb obrosły jeżyną. Następnie rozstawił ich na skraju lasu, wciąż nie mówiąc ani słowa, w szerokiej tyralierskiej linii: każdy był co najmniej o dziesięć kroków od sąsiada.

– Słuchajcie no – rzekł kapral i były to pierwsze jego słowa – a nie strzelać mi przed komendą; pamiętajcie, że macie już tylko po trzy naboje.

„Co to wszystko znaczy?” – pytał sam siebie Fabrycy. Wreszcie, gdy został sam z kapralem, rzekł:

– Nie mam fuzji.

– Najpierw milcz! Idź tam: na pięćdziesiąt kroków za lasem znajdziesz któregoś z naszych zarąbanego szablami; weźmiesz mu fuzję i ładownicę. Ale żebyś mi nie obdzierał rannego, weź takiemu, co będzie na dobre zabity, a strzeż się, żebyś nie oberwał kulki od naszych.

Fabrycy puścił się pędem i wrócił z fuzją i ładownicą.

– Nabij i stań za tym drzewem, a zwłaszcza nie strzelaj, nim dam rozkaz... Kroćset fur beczek! – wtrącił kapral – nie umie nawet nabić!... Pomógł Fabrycemu, ciągnąc dalej: – Jeśli nieprzyjacielski jeździec będzie pędził na ciebie z szablą, zaskocz za drzewo i nie strzelaj, aż z zupełnie bliska, kiedy będzie o trzy kroki: trzeba, aby bagnet prawie dotykał munduru.

– Rzućże to szablisko! – krzyknął kapral – chcesz się na nim przewrócić, do cholery! Co za żołnierzy dają nam teraz! – To mówiąc, sam ujął szablę i odrzucił ją z gniewem. – Wytrzyjże skałkę chustką. Ale czyś ty kiedy strzelał z fuzji?

– Często na polowaniu.

– Chwała Panu Bogu! – odparł kapral z głębokim westchnieniem. – Zwłaszcza nie strzelaj przed moim rozkazem. – I odszedł.

Fabrycy był rozradowany. „Wreszcie będę się bił naprawdę – mówił sobie – zabiję nieprzyjaciela. Rano pluli na nas kulami, a ja się tylko podstawiałem: głupia rola.” Rozglądał się na

wszystkie strony z ciekawością. Po chwili usłyszał tuż koło siebie kilka strzałów. Ale, nie słysząc komendy, stał spokojnie za drzewem. Była prawie noc; miał uczucie, że jest na *espere*, na łowach na niedźwiedzia, w górach Tramezzina, nad Grianta. Przyszedł mu do głowy pomysł myśliwski: wyjął z ładownicy nabój i wykręcił kulę. „Jeśli go zobaczę – rzekł – nie powinienem chybić” – i wpuścił tę drugą kulę do lufy. Usłyszał dwa strzały tuż koło drzewa, równocześnie ujrzał jeźdźca w niebieskim mundurze, przejeżdżającego tuż przed nim, od prawej ku lewej. „Jest dalej niż o trzy kroki – rzekł sobie – ale na tę odległość mam go na pewno.” Wiódł pilnie za jeźdźcem końcem lufy, w końcu pocisnął cyngiel, jeździec upadł wraz z koniem. Bohater nasz miał złudzenie, że jest na polowaniu; pobiegł radośnie ku zwierzynie, którą położył. Już zbliżał się do rannego, który – zdawało się – konał, kiedy z nieprawdopodobną szybkością dwaj jeźdźcy pruscy wpadli, aby go roznieść na szablach. Fabrycy uciekł pędem do lasu; dla większej szybkości rzucił fuzję. Prusacy byli już tylko o trzy kroki, kiedy dopadł dębowego gaiku na skraju lasu. Młode dąbki grubości ramienia zatrzymały na chwilę jeźdźców; ale przebyli je i zaczęli ścigać Fabrycego przez polankę. Znowu go już dosięgali, ale wpadł między grubsze drzewa. Równocześnie niemal osmalił go płomień kilku strzałów z fuzji oddanych tuż obok. Spuścił głowę; kiedy ją podniósł, ujrzał przed sobą kaprała.

– Zabiłeś swojego? – rzekł kaprał Aubry.

– Tak, ale straciłem fuzję.

– Ba, fuzji nie braknie. Chwat z ciebie, mimo tej za...nej miny, sprawiłeś się gracko, a tamte gamonie spudłowały do owych dwu drabów, którzy goniąc cię, wpadli wprost na nich; ja ich nie spostrzegłem. Chodzi teraz o to, aby stąd pięknie zwiać; pułk musi być o jakie pół ćwierci mili, a co więcej, mamy po drodze kawałeczek łąki, gdzie mogliby nas zagarnąć półkolem.

Tak mówiąc, kaprał szedł żwawo na czele swoich dziesięciu ludzi. O dwieście kroków dalej, wchodząc na ową łączkę, spotkali rannego generała, którego niósł adiutant ze służącym.

– Dasz mi czterech ludzi – rzekł do kaprała osłabłym głosem – zaniósł mnie do ambulansu: mam strzaskaną nogę.

– Idź do za...nej cholery! – odparł kaprał – ty i wszyscy generałowie! Zdradziliście dziś cesarza!

– Co?! – wykrzyknął generał wściekły – nie słuchasz moich rozkazów! Czy wiesz, jestem generał hrabia B..., komendant waszej dywizji itd., itd.

Gadał tak dłuższy czas. Adiutant skoczył na żołnierzy. Kaprał pchnął go bagnetem w ramię, po czym oddalił się ze swymi ludźmi, podwajając kroku.

– Bodajby im wszystkim – rzekł kaprał – połamano ręce i nogi! Glancusie przeklęte! Wszyscy zaprzędani Burbonom, zdradzili cesarza!

Fabrycy słuchał z przejęciem tego strasznego oskarżenia.

Około dziesiątej wieczór oddziałek połączył się z pułkiem pod dużą wioską, tworzącą kilka bardzo wąskich ulic; ale Fabrycy zauważył, że kaprał Aubry unika spotkania z którymś z oficerów.

– Niepodobna się poruszać! – krzyknął kaprał.

Wszystkie ulice były zapchane piechotą, jazdą, a zwłaszcza jaszczykami i furgonami. Kaprał próbował kolejno wepchać się w każdą ulicę; po dwudziestu krokach trzeba się było zatrzymać. Wszyscy klęli i wściekali się.

– Znowu jakiś zdrajca dowodzi! – wykrzyknął kaprał. – Jeżeli nieprzyjacieli wpadnie na ten dowcip, aby otoczyć wioskę, wyłowią nas jak psów. Hej tam, chłopcy, za mną!

Fabrycy obejrzał się; było już przy kapralu tylko sześciu żołnierzy. Weszli jakąś otwartą bramą w obszerny dziedziniec; z dziedzińca przeszli do stajni, z której dostali się do ogrodu. Zgubili się w nim na chwilę. Wreszcie, przeszedłszy żywopłot, znaleźli się w zbożu. W niespełna pół godziny, wiedzeni krzykami i hałasem, dobili do gościńca. Rowy pełne były porzuconych fuzji; Fabrycy wybrał sobie jedną. Ale droga, mimo że bardzo szeroka, tak była zapchana uciekającymi i wozami, że w ciągu pół godziny kaprał i Fabrycy posunęli się zaledwie o pięćset kroków. Mówiono, że ta droga wiedzie do Charleroi. Wioskowy zegar wybił jedenastą.

– Walmy przez pole! – wykrzyknął kaprał.

Oddziałek składał się już tylko z trzech żołnierzy, Fabrycego i kaprała.

Kiedy byli o ćwierć mili od gościńca, jeden z żołnierzy rzekł:

– Ja już nie mogę.

– Ani ja – rzekł drugi.

– Ładna nowina! Wszyscyśmy w jednej skórce – rzekł kapral – ale słuchajcie tylko mnie, a dobrze wyjdziecie. – Ujrzał kilka drzew wzdłuż małego rowu wśród olbrzymiego łąnu zboża. – Pod te drzewa – rzekł do swoich ludzi – połóżcie się tu – dodał, skoro się tam znaleźli – tylko bez hałasu. Ale nim uśniemy, kto ma chleb?

– Ja – rzekł jeden z żołnierzy.

– Dawaj – rzekł kapral z powagą. Podzielił chleb na pięć kawałków i wziął sobie najmniejszy. – Na kwadrans przed świtaniem – rzekł, jedząc – będziecie mieli na karku nieprzyjacielską jazdę. Chodzi o to, aby się nie dać wziąć na szable. Jeden byłby kaput mając na karku jazdę na tej równinie; ale pięciu może się ocalić: trzymajcie się kupą przy mnie, nie strzelajcie, aż z bardzo bliska, a podejmuję się jutro doprowadzić was do Charleroi.

Kapral obudził ich na godzinę przed dniem, kazał im na świeżo nabić broń. Zgiełk od gościńca dochodził wciąż, trwał całą noc, był to niby łoskot odległego strumienia.

– To zupełnie jak kiedy barany uciekają – rzekł Fabrycy naiwnie do kaprała.

– Stulisz ty pysk, smarkaczu! – rzekł kapral oburzony.

I trzech żołnierze, którzy z Fabrycym składali całą jego armię, spojrzeli, na chłopca z gniewem, jak gdyby dopuścił się bluźnierstwa. Znieważył naród.

„To kapitalne! – myślał nasz bohater. – Zauważyłem to już u wicekróla w Mediolanie: oni nie uciekają, nie! Z tymi Francuzami nie wolno mówić prawdy, kiedy to obraża ich próżność. Ale ja sobie kpię z ich srogich min i muszę im to dać poznać.” Wciąż szli o pięćset kroków od strumienia uciekających, który pokrywał gościniec. O milę dalej kapral i jego armia skierowali się drogą wiodącą do gościńca, przy której leżało wielu żołnierzy. Fabrycy kupił sobie niezłego konia, który go kosztował czterdzieści franków, i wśród szabel porzuconych po obu stronach drogi wybrał wielki prosty rapier. „Skoro mówią, że trzeba kłuć sztychem – pomyślał – ten będzie najlepszy.” Tak uzbrojony wypuścił konia i niebawem dogonił kaprała, który udał się przodem. Poprawiwszy się w strzemionach ujął w lewą garść pochwę rapiera i rzekł do czterech Francuzów:

– Ci uciekający to istne stado baranów... idą jak wystraszone barany...

Ale darmo Fabrycy kładł nacisk na słowo *baran*, koledzy nie pamiętali już, że się pogniewali o to godzinę wprzód. W tym się wyraża jedno z przeciwieństw francuskiego i włoskiego charakteru; Francuz jest bez wątpienia szczęśliwszy, ślizga się po wypadkach i nie chowa urazy.

Nie będziemy taić, że Fabrycy był bardzo rad ze swojej osoby, powiedziawszy swoje o *baranach*. Posuwali się, gawędząc. O dwie mile dalej kapral, wciąż zdziwiony, że nie widzi nieprzyjacielskiej jazdy, rzekł do Fabrycego:

– Ty jesteś naszą kawalerią, jedź galopem do tej chałupy na wzgórku i spytaj chłopca, czy zechce nam *sprzedać* śniadanie; powiedz wyraźnie, że jest nas tylko pięciu. Gdyby się wahał, daj mu pięć franków ze swoich pieniędzy; ale bądź spokojny, odbierzemy ten pieniążek po śniadaniu.

Fabrycy spojrział na kaprała, ujrzał na jego twarzy niewzruszoną powagę, istotny wyraz wyższości moralnej; usłuchał. Wszystko odbyło się tak, jak powiedział głównodowodzący; Fabrycy jedynie nalegał, aby nie odbierał siłą pięciu franków, które dał chłopcu.

– To moje pieniądze – mówił do towarzyszy – ja nie płacę za was, płacę za owies dla mojego konia.

Fabrycy tak źle wysławiał się po francusku, że towarzysze odczuli w jego słowach ton wyższości: dotknęło ich to; z tą chwilą w myśli ich zarysował się pojedynek na zakończenie dnia. Wydawał im się bardzo różny od nich, i to ich drażniło; Fabrycy, przeciwnie, zaczynał czuć dla nich przyjaźń.

Szli bez słowa od dwóch godzin, kiedy kapral, spoglądając na drogę, wykrzyknął radośnie:

– Nasz pułk!

Rychło znaleźli się na gościńcu; ale niestety! koło orła nie było ani dwustu ludzi. Oko Fabrycego ujrzało niebawem markietankę: szła pieszo, z czerwonymi oczami, popłakując od czasu do czasu. Na próżno Fabrycy szukał wzrokiem wózka i Kokotki.

– Zrabowane, przepadłe, skradzione! – wykrzyknęła markietanka w odpowiedzi na spojrzenia naszego bohatera.

Fabrycy bez słowa zsiadł z konia, ujął go za uzdę i rzekł do markietanki:

– Niech pani siada.

Nie dała sobie powtarzać dwa razy.

– Skróć mi strzemiona – rzekła.

Usadowiwszy się, zaczęła opowiadać Fabrycemu kłęski owej nocy. Po opowiadaniu nieskończenie długim, ale chciwie łykanym przez naszego bohatera, który – prawdę rzekłszy – nic a nic nie zrozumiał, ale miał żywą przyjaźń dla markietanki, dodała:

– I rzec, że to Francuzi mnie obłupili, zbili, zrujnowali...

– Jak to! To nie nieprzyjaciele? – spytał Fabrycy naiwnym tonem, który dawał uroczy wyraz jego poważnej i bladej twarzy.

– Jakiś ty głupi, mój poczciwy malcze! – rzekła markietanka, uśmiechając się przez łzy. – Ale bardzo milusi!

– I jak go pani widzisz, doskonale sprzątnął swego Prusaka – rzekł kapral Aubry; wśród powszechnego zamętu kapral znalazł się przypadkowo po drugiej stronie konia, na którym jechała markietanka. – Ale dumna z niego sztuka... – ciągnął kapral. Tu Fabrycy uczynił gest. – Jakże ty się nazywasz – ciągnął kapral – ostatecznie, jeżeli będzie raport, chcę cię wymienić.

– Nazywam się Vasi – odrzekł Fabrycy, nieco zmieszany – to jest właściwie Boulot – poprawił się żywo.

Boulot było to nazwisko właściciela marszruty, którą mu dała dozorczyńni więzienia; przedwczoraj wystudiował ją starannie w drodze, bo zaczynał zastanawiać się nieco i nie dziwił się już tak wszystkiemu. Prócz marszruty huzara Boulot przechowywał troskliwie paszport włoski, wedle którego miał – prawo do szlachetnego miana Vasi – handlarz barometrów. Kiedy kapral zarzucił mu dumę, omal nie odpowiedział: „Ja dumny! Ja, Fabrycy Valserra, marchesino del Dongo, który godzi się nosić nazwisko jakiegoś Vasi, handlarza barometrów!”

Podczas gdy Fabrycy zastanawiał się i powiadał sobie: „Trzebaż pamiętać o tym, że się nazywam Boulot lub też pachnie to więzieniem, które mi zagraża” – kapral i markietanka wymienili parę uwag dotyczących jego osoby.

– Niech mnie pan nie uważa za wścibską – rzekła markietanka przestając go *tykać* – jeżeli pytam, to dla pańskiego dobra. Kto pan jest, ale tak naprawdę?

Fabrycy nie odpowiedział zrazu; rozważał, że niepodobna by mu znaleźć przyjaciół bardziej oddanych, których mógłby się poradzić. A gwałtownie potrzebował rady! „Przybędziemy do obozu, komenderujący zechce wiedzieć, kto jestem, i znowu pachnie więzieniem, jeśli się okaże z moich odpowiedzi, że nie znam nikogo w czwartym pułku huzarów, którego mundur noszę!” Jako poddany austriacki, Fabrycy znał całą wagę paszportu; członkowie jego rodziny, mimo że wysoko urodzeni i nabożni, mimo że należący do zwycięskiego stronnictwa, bywali po dwadzieścia razy niepokojeni z przyczyny paszportu; nic go tedy nie zdziwiło pytanie markietanki. Kiedy – nim zdobył się na odpowiedź – szukał w myśli najjaśniejszych zwrotów francuskich, markietanka, palona ciekawością, dodała, aby go zachęcić:

– Kapral Aubry i ja damy panu dobrą radę, niby względem tego, co masz z sobą począć.

– Nie wątpię – odparł Fabrycy. – Nazywam się Vasi i jestem z Genui; siostra moja, słynna z urody, wyszła za mąż za kapitana. Ponieważ mam dopiero siedemnaście lat, ściągnęła mnie, aby mi pokazać Francję i ogładzić mnie nieco. Nie zastawszy jej w Paryżu i dowiedziawszy się, że jest przy armii, przybyłem za nią i szukałem na wszystkie strony, nie mogąc jej znaleźć. Żołnierze, uderzeni

moim włoskim akcentem, przytrzymali mnie. Miałem wówczas pieniądze; przekupiłem żandarma, który dał mi marszrutę, mundur i powiedział: „Zmykaj, ale przysięgnij, że nigdy nie wymienisz mego nazwiska.”

– Jak się nazywał? – spytała markietanka.

– Dałem słowo – odparł Fabrycy.

– Ma rację – wtrącił kapral – żandarm jest ladaco, ale kolega nie powinien go zdradzić. A jak się nazywa ten kapitan, twój szwagier? Skore będziemy wiedzieli nazwisko, możemy go poszukać.

– Teulier, kapitan w czwartym pułku huzarów – odparł nasz bohater.

– Zatem – rzekł kapral z domyślną miną – z cudzoziemskiego akcentu żołnierze wzięli cię za szpiega.

– Och, to ohydne słowo! – krzyknął Fabrycy z błyszczącymi oczami. – Ja, który tak kocham cesarza i Francuzów! Właśnie ta zniewaga najwięcej mnie oburza.

– Nie ma tu żadnej zniewagi, w tym właśnie się mylisz; omyłka żołnierzy jest zupełnie naturalna – odparł z powagą kapral Aubry.

Za czym wyłożył mu wielce dokładnie, że w wojsku trzeba należeć do jakiejś broni i nosić mundur, inaczej jest zupełnie proste, że człowieka biorą za szpiega. „Nieprzyjaciel nasyla nam ich dużo; kto żyje, zdradza w tej wojnie.” Łuska spadła z oczu Fabrycego: pierwszy raz zrozumiał, że wszystko, co mu się zdarzyło od dwóch miesięcy, było z jego winy.

– Ale trzeba, żeby malec opowiedział nam wszystko – rzekła markietanka, którą ciekawość paliła coraz bardziej.

Fabrycy spełnił jej prośbę. Kiedy skończył, rzekła poważnie do kaprała:

– W gruncie rzeczy ten dzieciak nie jest wojskowy; teraz, kiedy nas pobito i zdradzono, czeka nas brzydka wojna. Po co miałby brać po łbie *gratis pro Deo*?

– Zwłaszcza – rzekł kapral – że nie umie nawet nabić karabinu ani na dwanaście temp, ani tak. To ja nabiłem fuzję, którą sprzątnął Prusaka.

– Co więcej, pokazuje pieniądze całemu światu – dodała markietanka – okradną go od pierwszej chwili, kiedy nie będzie z nami.

– Pierwszy podoficer kawalerii, którego spotka – rzekł kapral – skonfiskuje je, aby sobie postawić szklaneczkę, a może i wezmą go w rekruty na rzecz nieprzyjaciela, kto żyje bowiem, zdradza. Pierwszy z brzegu każe mu iść za sobą, on pójdzie; lepiej byłoby wpisać go do naszego pułku.

– Och, nie, panie kapralu! – wykrzyknął Fabrycy. – Wygodniej na koniu! Zresztą ja nie umiem nabić karabinu, a widzi pan, że umiem jeździć konno.

Fabrycy był bardzo dumny ze swej oracji. Nie będziemy powtarzali długiej dyskusji nad jego przyszłym losem, która toczyła się między kapralem a markietanką. Fabrycy zauważył, że w rozmowie powtarzali po kilka razy wszystkie szczegóły jego przygody: podejrzenia żołnierzy, żandarm sprzedający marszrutę i mundur, sposób, w jaki wczoraj się znalazł w eskorcie generała, cesarz ujrzany w galopie, *zwędzony* koń itd.

Z kobiecą ciekawością markietanka wracała wciąż do sposobu, w jaki wyzuto go z dobrego konia, nabytego z jej pomocą.

– Uczuleś, że cię chwytają za nogi, ściągnięto cię delikatnie przez ogon i posadzono na ziemi?

„Po co powtarzać tak często – myślał Fabrycy – to, co wszyscy troje wiemy tak dobrze?” Nie wiedział jeszcze, że w ten sposób we Francji ludzie z gminu szukają myśli.

– Ileż masz pieniędzy? – spytała naraz markietanka.

Fabrycy nie wahał się z odpowiedzią; pewny był szlachetności tej kobiety – to najpiękniejszy rys Francji.

– Wszystkiego zostało mi może trzydzieści napoleonów w złocie i z dziesięć pięciofrankówek.

– W takim razie masz wolne pole! – wykrzyknęła markietanka. Wydobądź się z rozbitej armii, pchnij się gdzie w bok, weź się pierwszą wyjeżdżoną dróżką, którą spotkasz, na prawo i wypuść ostro konia, wciąż dalej od armii. Przy pierwszej sposobności kup sobie cywilne ubranie. Kiedy będziesz

o jakie osiem lub dziesięć mil i nie będziesz już widział żołnierzy, siadaj na pocztę i jedź odpocząć i odjeść się przez tydzień do jakiego miasta. Nie mów nikomu, że byłeś w armii, żandarmi zagarnęliby cię jako dezertera; a choć jesteś bardzo milusi, mój mały, nie jesteś jeszcze dość kuty, aby gadać z żandarmami. Gdy będziesz miał na sobie cywilne ubranie, podrzyj marszrutę na drobne kawałeczki i wróć do prawdziwego nazwiska: mów, że jesteś Vasi. A skąd ma mówić, że jedzie – zwróciła się do kaprała.

– Z Cambrai nad Skaldą, to poczciwe miasteczko, rozumiesz? Jest tam katedra i Fénelon<sup>21</sup>.

– Doskonale – rzekła markietanka – i nie mów nigdy nikomu, że byłeś w bitwie, nie piśnij słowa o B... ani o żandarmie, który ci sprzedał marszrutę. Kiedy będziesz chciał wrócić do Paryża, udaj się najpierw do Wersalu i przejdź roгатkę od tej strony, ot tak, piechotą, jak gdybyś sobie szedł spacerem. Zaszuj swoje napoleony do portek; zwłaszcza kiedy będziesz miał płacić za coś, pokazuj ściśle tyle, ile wynosi kwota. To mnie trapi, że cię będą nabierali, że z ciebie wycisną wszystko, co masz. A co ty poczniesz bez pieniędzy, nie umiejąc sobie dawać rady? itd...

Poczciwa markietanka mówiła jeszcze długo; kaprał przytwierdzał jej kiwaniem głowy, nie mogąc sam dojść do słowa. Nagle tłum, który pokrywał gościniec, zdwoił zrazu kroku, po czym w mgnieniu oka przebył rów po lewej i zaczął uciekać co sił.

– Kozacy! Kozacy! – krzyczano ze wszystkich stron.

– Weźże swego konia! – wołała markietanka.

– Niech mnie Bóg broni! – rzekł Fabrycy. – Galopuj, pani, uciekaj, zostawiam ci go. Chce pani pieniędzy na odkupienie wózka? Połowa tego, co mam, jest twoja.

– Weź swego konia, mówię! – krzyknęła markietanka z gniewem i zatrzymała się, aby zsiąść.

Fabrycy dobył szabli.

– Trzymaj się, pani, mocno! – krzyknął i uderzył płazem konia, który puścił się galopa i pognął za uciekającymi.

Nasz bohater rozejrzał się po gościńcu; dopiero co kilka tysięcy ludzi tłoczyło się tam, ściśniętych jak na procesji. Po okrzyku „Kozacy!” nie ujrzał dosłownie nikogo; porzucili czaka, fuzje, szable. Fabrycy, zdziwiony, zeszedł na prawo, na pole wznoszące się na jakie dwadzieścia lub trzydzieści stóp, spojrzał na gościniec, na równinę i nie ujrzał ni śladu Kozaków. „Zabawni ci Francuzi – pomyślał. – Skoro mam się brać na prawo – myślał najlepiej iść od razu w tym kierunku: może ci, co uciekają, mają jakieś powody, których ja nie znam?” Podniósł jakiś karabin, sprawdził, że jest nabyty, wzruszył proch na panewce, oczyścił skałkę, wybrał pełną ładownicę i rozejrzał się jeszcze raz; był sam wśród tej równiny, niedawno tak nabitej ludźmi. Het, w oddali, widział uciekających, którzy wciąż biegli, aż zniknęli za drzewami. „Szczególne!” – myślał. I przypomniawszy sobie wczorajszy manewr kaprała, usiadł wśród ładu zboża. Nie oddalał się, pragnąc ujrzeć jeszcze swoich przyjaciół: markietankę i kaprała Aubry.

W zbożu sprawdził, że ma już tylko osiemnaście napoleonów zamiast trzydziestu, jak mniemał; ale zostało mu parę diamencików, które ukrył był w podszewce huzarskiego buta w izbie dozorczyńni w B... Schował złoto, jak mógł najlepiej, zastanawiając się głęboko nad tym nagłym zniknięciem. „Czy to zła wróżba?” – myślał. Głównym jego zmartwieniem było, że nie zwrócił się do kaprała Aubry z tym pytaniem: „Czy ja naprawdę brałem udział w bitwie?” Zdawało mu się, że tak; byłby szczęśliwy bez granic, gdyby był tego pewny.

„Bądź co bądź – mówił sobie – brałem w niej udział pod nazwiskiem więźnia, miałem w kieszeni marszrutę więźnia i co więcej, jego mundur na sobie. To fatalne na przyszłość; co by o tym powiedział ksiądz Blanès? I ten nieszczęśliwy Boulot umarł w więzieniu! Wszystko to jest zła wróżba; los zaprowadzi mnie do więzienia.” Fabrycy dałby wszystko w świecie, aby wiedzieć, czy Boulot był naprawdę winien; zbierając swoje wspomnienia miał wrażenie, że wedle relacji dozorczyńni huzar nie tylko ściągnął srebro stołowe, ale także ukradł krowę chłopską i do tego zbił chłopca niemiłosiernie;

---

<sup>21</sup> Fénelon (1651–1715) – fr. dostojnik kościelny, teolog i pisarz, pochowany w Cambrai jako jego arcybiskup. [przypis edytorski]

Fabrycy nie wątpił, iż prędzej lub później wtrąca jego samego do więzienia za jakieś przewinienie mające związek z postępkami huzara Boulot. Myślał o swoim przyjacielu, księdzu Blanès; cóż by dał za to, aby się go móc poradzić! Przypomniawszy sobie, że nie napisał ani razu do ciotki, od czasu jak opuścił Paryż. „Biedna Gina!” – mówił sobie. Łzy stanęły mu w oczach, kiedy nagle usłyszał tuż za sobą szelest: był to żołnierz, który pasł trzy konie wyraźnie wpółmartwe z głodu, zdjąwszy im uzdę. Trzymał je za trzęzle. Fabrycy zerwał się jak młoda kuropatwa, tak iż żołnierz zląkł się. Bohater nasz spostrzegł to i dał się skusić przyjemności odegrania przez chwilę roli prawdziwego huzara.

– Jeden z tych koni jest mój, ty sk.....u! – wykrzyknął – ale dam ci pięć franków za to, żeś mi go tu przyprowadził.

– Kpisz czy o drogę pytasz? – rzekł żołnierz.

Fabrycy złożył się doń z odległości sześciu kroków.

– Puść albo strzelam!

Żołnierz miał fuzję przewieszoną przez ramię, sięgnął ręką, aby ją ująć.

– Jeśli uczynisz najłżejszy ruch, zginąłeś! – wykrzyknął Fabrycy, pędząc prosto na niego.

– No, więc dawaj pięć franków i bierz konia – rzekł ogłupiały żołnierz, spojrzawszy z żalem na gościniec, gdzie nie było żywej duszy. Fabrycy, trzymając karabin w pogotowiu lewą ręką, prawą rzucił mu trzy pięciofrankówki.

– Złaż albo zginięsz... Założ munsztuk karemu i oddał się z tamtymi dwoma... Strzelam, jeśli się ważysz...

Żołnierz usłuchał mrużąc coś niechętnie. Fabrycy podszedł do konia i ujął cugle lewą ręką, nie tracąc z oczu żołnierza, który oddalał się wolno; kiedy Fabrycy ujrzał go o jakie pięćdziesiąt kroków, wskoczył lekko na konia. Jeszcze szukał prawą nogą strzemienia, kiedy usłyszał bardzo blisko świst kuli: to ów żołnierz wygarnął doń z karabinu. Fabrycy, wściekły, pocwałował w stronę żołnierza, który umknął pędem; niebawem Fabrycy ujrzał go w oddali galopującego na jednym z koni. „Ba! już go nie dosięgnę” – rzekł sobie. Koń, którego kupił, był wspaniały, ale wyraźnie wpółzdechły z głodu. Fabrycy wrócił na gościniec, gdzie wciąż nie było żywej duszy, przeciął go i puścił konia truchtem, aż wjechał na wzgórek po lewej, skąd miał nadzieję ujrzeć markietankę; ale kiedy się znalazł na szczycie, dostrzegł na milę wokoło jedynie kilku pojedynczych żołnierzy. „Napisane jest, że już nie zobaczę tej dzielnej i dobrej kobiety!” – rzekł z westchnieniem. Dobił do zagrody, którą ujrzał w oddali na prawo. Nie zsiadając i płacąc z góry, kazał dać owsa biednemu koniowi, tak wygłodniałemu, że kąsał żłób. W godzinę później Fabrycy człapał po gościńcu, wciąż z mglistą nadzieją odnalezienia markietanki lub bodaj kaprała. Jadąc ciągle i rozglądając się na wszystkie strony, przybył nad błotnistą rzekę, na której był dość wąski drewniany most. Przed mostem, na prawo od gościńca, stało odosobnione domostwo noszące nazwę „Pod Białym Koniem”. „Zjem tu obiad” – rzekł sobie Fabrycy. U wejścia na most znajdował się oficer kawalerii z ręką na temblaku; był na koniu i miał minę bardzo zgnębioną; o dziesięć kroków od niego trzech spieszonych<sup>22</sup> kawalerzystów majstrowało koło fajek.

„Ci ludzie – pomyślał Fabrycy – wyglądają na to, że zechcą ode mnie kupić konia jeszcze taniej, niż mnie kosztował.” Ranny oficer i trzech piechurzy patrzyli nań, zdając się czekać, aż nadjedzie. „Lepiej mi było nie przejeżdżać przez ten most i wziąć się wzdłuż rzeki na prawo; to by była droga, jaką mi doradzała markietanka, aby się wycofać z sytuacji...” Tak rzekł sobie nasz bohater – ale jeżeli umknę, jutro będę się tego wstydził; zresztą mój koń ma dobre nogi, koń tego oficera jest pewnie zmęczony; jeżeli zechce mnie zsiadzić z siodła, wypuszczę się galopem.” Tak rozumując, Fabrycy ściągnął konia i posuwał się możliwie najwolniej.

– Żywiej no tam, huzarze! – krzyknął oficer rozkazująco.

Fabrycy posunął się o kilka kroków i stanął.

– Chce mi pan zabrać konia? – krzyknął.

– Ależ nie; podjedź tu bliżej.

---

<sup>22</sup> *spieszony* – pozbawiony konia. [przypis edytorski]

Fabrycy spojrział na oficera; miał siwe wąsy, minę najpocziwszą pod słońcem; chustka, która podtrzymywała jego lewe ramię, była pełna krwi, a prawa ręka była również zawinięta w krwawą szmatę. „To te piechury zechcą się dobierać do mojego konia” – rzekł sobie Fabrycy, ale przyjrząwszy się bliżej, ujrzał, że piechury też są ranne.

– W imię honoru – rzekł oficer noszący epolety pułkownika – zostań tu na wedecie i powiedz wszystkim dragonom, szaserom i huzarom, których ujrzysz, że pułkownik Le Baron jest w tej gospodzie i że im rozkazuję zgłosić się tam do mnie.

Stary pułkownik wydawał się straszliwie zgnębiony; od pierwszych słów zdobył sobie serce naszego bohatera, który odpowiedział rozsądnie:

– Jestem zbyt młody, proszę pana, aby mnie usłuchano; trzeba by, abym miał ten rozkaz na piśmie.

– Ma słuszność – rzekł pułkownik, przyglądając mu się z uwagą – pisz rozkaz, La Rose, ty masz prawą rękę całą.

Nic nie mówiąc, La Rose wydobyl pergaminowy notatnik, napisał kilka wierszy i wydarłszy ćwiartkę oddał ją Fabrycemu; pułkownik powtórzył mu rozkaz, dodając, iż po dwóch godzinach warty zluzuje go, jak się należy, jeden z rannych kawalerzystów. To rzekłszy, wszedł do gospody ze swymi ludźmi. Fabrycy patrzył za nimi, stojąc nieruchomo z początku mostu, tak bardzo uderzyła go niema i posepna boleść tych trzech osób. „Rzekłby ktoś, zakłęte duchy” – mówił sobie. Wreszcie rozwinął złożony papier i przeczytał następujący rozkaz:

Pułkownik Le Baron z 6 pułku dragonów, komendant drugiej brygady pierwszej dywizji 14 korpusu, rozkazuje wszystkim kawalerzystom, dragonom, szaserom i huzarom nie przekraczać mostu i zgłosić się do gospody „Pod Białym Koniem” koło mostu, gdzie jest jego generalna kwatera.

W kwaterze generalnej, koło mostu na Sainte, 19 czerwca r. 1815.

Za pułkownika Le Baron, rannego w prawą rękę, i z jego rozkazu, wachmistrz La Rose

Zaledwie pół godziny stał Fabrycy na warcie, kiedy ujrzał nadjeżdżających sześciu szaserów konnych i trzech pieszo; oznajmił im rozkaz pułkownika.

– Zaraz wrócimy – odparli czterej konni i przejechali most ostrym klusem.

Wówczas Fabrycy zwraca się do dwóch pozostałych. W czasie dyskusji, która się wywiązała, trzech piesi przeszli przez most. Jeden z szaserów siedzących na koniu orzekł w końcu, że chce zobaczyć rozkaz, i porwał papier mówiąc:

– Zaniosem rozkaz kolegom, którzy z pewnością wrócą, czekaj tu cierpliwie.

I puścił się galopem, towarzysz za nim. Wszystko to stało się w mgnieniu oka.

Fabrycy, wściekły, zawołał jednego z rannych, który właśnie pokazał się w oknie gospody. Żołnierz, który – jak to zauważył Fabrycy – miał galony wachmistrza, zeszedł i krzyknął nań podchodząc:

– Szabla do garści, psiakr..! Jesteś w służbie!

Fabrycy usłuchał, po czym rzekł:

– Porwali rozkaz.

– Wściekli się o wczorajsze – odparł tamten ponuro. – Dam ci swój pistolet; gdyby znów kto chciał przełamać zakaz, strzelaj w powietrze: przyjdę ja albo sam pułkownik się pokaże.

Fabrycy dostrzegł gest zdumienia u wachmistrza na wzmiankę o porwaniu rozkazu; zrozumiał, że wyrządzono mu osobistą zniewagę, i postanowił solennie nie dać już drwić z siebie.

Uzbrojony w wielki kawaleryjski pistolet wachmistrza, Fabrycy wrócił dumnie pełnić wartę; niebawem ujrzał nadjeżdżających siedmiu huzarów na koniach. Ustawił się tak, aby zagrozić most, i oznajmił im rozkaz pułkownika, co przyjęli kwaśno; najśmielszy próbował przejechać. Fabrycy, idąc za mądrą radą markietanki, która poprzedniego ranka mówiła mu, że trzeba brać na sztych, a nie

plazować, pochylił szpic wielkiego rapiera z miną człowieka, który gotów jest przebić każdego, kto zechce przekroczyć rozkaz.

– Ale! on chce nas tu zabijać, ten smarkacz! – krzyknęli huzarzy – jak gdyby nas nie dosyć nazabijano wczoraj!

Jak na komendę dobyli szabel i wpadli na Fabrycego; myślał, że już po nim, ale przypomniał sobie zdziwienie wachmistrza i nie chciał być jeszcze raz dudkiem. Cofając się na most, starał się kłuć sztychem. Miał tak pocieszoną minę, wywijając tą wielką kawaleryjską szablą, o wiele za ciężką dla niego, że huzarzy poznali niebawem, z kim mają do czynienia: odtąd silili się go nie zranić, ale pociąć mu ubranie. W ten sposób Fabrycy otrzymał kilka lekkich draśnień w ramię. On sam, wciąż wierny zasadom markietanki, zadawał z całej siły pchnięcia. Nieszczęściem jedno z tych pchnięć zraniło huzara w rękę; wściekły, że dał się skaleczyć takiemu żołnierzowi, odpowiedział energiczną ripostą, raniąc Fabrycego w udo. Cios dosięgnął go dzięki temu, że koń naszego bohatera, daleki od chęci uciekania z tej bitki, znajdował w niej wyraźną przyjemność i rzucał się na napastników. Ci, ujrawszy krew spływającą Fabrycemu z prawego ramienia, zlekli się, iż posunęli zabawę zbyt daleko; za czym zepchnawszy go ku barierze puścili się galopem. Z chwilą gdy Fabrycy odzyskał swobodę ruchów, wystrzelił w powietrze, aby ostrzec pułkownika.

Czterech huzarów konnych i dwóch pieszych z tego samego pułku co poprzedni zbliżało się do mostu; byli o jakieś dwieście kroków, kiedy się rozległ strzał. Śledzili uważnie, co się dzieje na moście; wyobrażając sobie, że Fabrycy strzelił do ich kolegów, czterej konni runęli nań z wyciągniętymi szablami. Była to istna szarża. Pułkownik Le Baron, przywołany strzałem i z pistoletu, otworzył drzwi i rzucił się na most w chwili właśnie, gdy huzarzy nadjeżdżali galopem. Sam dał żołnierzom rozkaz zatrzymania się.

– Nie ma tu żadnych pułkowników! – wykrzyknął jeden spinając konia.

Zrozpaczony pułkownik przerwał upomnienia i swoją prawą, zranioną ręką chwycił konia za uzdę z lewej strony.

– Stój! Zły żołnierzu – rzekł do huzara – znam cię, jesteś z kompanii kapitana Henrieta.

– Więc dobrze! niech kapitan sam da mi rozkaz! Kapitan Henrieta zabito wczoraj – dodał drwiąco – a ty ruszaj do za...nej śmierci.

Mówiąc to, żołnierz próbuje sobie otworzyć przejście i popycha starego pułkownika, który pada na most. Fabrycy, który stał o dwa kroki dalej, ale twarzą do oberży, najeżdża koniem i podczas gdy koń zuchwałego żołnierza i obalił piersią pułkownika nie wypuszczającego z rąk cugli, Fabrycy, oburzony, zadaje huzarowi pchnięcie. Szczęściem koń huzara, ciągniony ku ziemi uzdą, którą trzymał pułkownik, skręcił w bok, tak że długa kawaleryjska szablą Fabrycego oślizgnęła się po dolmanie<sup>23</sup> i mignęła tylko huzarowi przed oczami. Ów, wściekły, obraca się i tnie z całej siły, przecinając Fabrycemu rękaw i raniąc go w ramię; bohater nasz pada.

Jeden ze spieszonych huzarów, widząc dwóch obrońców mostu na ziemi, korzysta z chwili, skacze na konia Fabrycego i chce go sobie przywłaszczyć, puszczając się galopem przez most.

Nadbiegający z gospody wachmistrz widział, jak pułkownik pada, i sądził, że jest ciężko ranny. Biegnie za koniem Fabrycego i zatapia szablę w krzyże złodzieja; ten wali się. Huzarzy, widząc na moście już tylko wachmistrza, puszczają się galopem i przejeżdżają szybko. Ten, który był pieszo, umknął w pole.

Wachmistrz zbliżył się do rannych. Fabrycy podniósł się już; nie cierpiał zbyt, ale stracił dużo krwi. Pułkownik podniósł się wolniej; był ogłuszony upadkiem, ale nie ranny.

– Boli mnie jedynie – rzekł do wachmistrza – moja dawna rana w rękę.

Huzar, zraniony przez wachmistrza, konał.

– Bierżże go czart! – wykrzyknął pułkownik. – Ale – rzekł do wachmistrza i dwóch nadbiegających żołnierzy – zajmijcie się tym chłopczyną, którego naraziłem tak nieopatrznie. Ja

---

<sup>23</sup> *dolman* (daw., z tur.) – kurtka, płaszcz. [przypis edytorski]

zostanę sam przy moście i spróbuję powstrzymać tych opętanych. Zaprowadźcie chłopca do gospody i opatrzcie mu ramię, weźcie jedną z moich koszul.

## Rozdział piąty

Całe to zajście nie trwało ani minuty. Rany Fabrycego okazały się lekkie; owinięto mu ramię bandażem z koszuli pułkownika. Chciano mu postać łóżko na pierwszym piętrze gospody.

– Ale – rzekł Fabrycy do wachmistrza – gdy ze mną będą się tu cackali na pierwszym piętrze, mój koń znudzi się w stajni sam i odjedzie sobie z innym panem.

– Wcale nieźle jak na rekruta – rzekł wachmistrz.

Za czym ułożono Fabrycego na świeżutkiej słomie w samym żłobie, do którego przywiązany był jego koń.

Widząc, że Fabrycy jest bardzo słaby, wachmistrz przyniósł mu czarę grzanego wina i wdał się z nim w gawędę. Parę wplecionych w tę rozmowę pochwał sprawiło, że nasz bohater znalazł się w siódmym niebie.

Fabrycy obudził się aż o świcie; konie rżały i robiły wściekły łomot; stajnia pełna była dymu. Zrazu Fabrycy nie rozumiał przyczyny hałasu i nie wiedział nawet, gdzie jest; wreszcie wpółzdlawiony dymem wpadł na myśl, że to może dom się pali. W mgnieniu oka znalazł się na dziedzińcu i na koniu. Podniósł głowę: dym buchał z okien nad stajnią; dach był cały w kłębach czarnego dymu. Setka uciekających przybyła w nocy do gospody „Pod Białym Koniem”; wszyscy krzyczeli i kleli. Żołnierze, których Fabrycy mógł dojrzeć, byli widać zupełnie pijani; jeden chciał go zatrzymać, wołając:

– Dokąd ty bierzesz mojego konia?

Kiedy Fabrycy znalazł się o ćwierć mili, odwrócił głowę: nikt go nie ścigał, dom był w płomieniach. Fabrycy poznał most, przypomniał sobie ranę i uczył, że ramię ma ściśnięte bandażem i bardzo gorące. „A stary pułkownik, co się z nim stało? Dał swoją koszulę, aby mi opatrzone ramię.” Bohater nasz cieszył się tego ranka najzimniejszą krwią pod słońcem; obfitość krwi, którą stracił, oswobodziła go z romantyzmu właściwego jego naturze.

„Na prawo – powiedział sobie – i w nogi!” Puścił się spokojnie wzdłuż rzeki, która od mostu skręcała na prawo od drogi. Przypomniał sobie rady pocziwej markietanki. „Co za życzliwość! – myślał – co za rzetelny charakter!”

Po godzinie jazdy uczył się bardzo słaby. „Co u licha? Czyżbym miał zemdleć? – powiadał sobie. – Jeśli zemdleję, skradną mi konia, może i mundur, a wraz z nim mój skarbczyk. Nie miał już siły, aby powodować koniem, czynił wysiłki, aby utrzymać się na siodle, kiedy wieśniak, który pracował w polu koło gościńca, spostrzegł jego bladość i ofiarował mu szklankę piwa i kawałek chleba.

– Widząc was tak bladym pomyślałem, że jesteście ranni w wielkiej bitwie – rzekł.

Nigdy pomoc nie zjawiała się bardziej w porę. Podczas gdy Fabrycy gryzł kawał czarnego chleba, oczy zaczęły go boleć, kiedy patrzył na wprost siebie. Skrzepiwszy się nieco, podziękował.

– A gdzie ja jestem? – spytał.

Wieśniak objaśnił, że o trzy ćwierci mili dalej natrafi na miasteczko Zonders, gdzie znajdzie opiekę. Fabrycy dobił do miasteczka, nie bardzo wiedząc, co robi, i wciąż dokładając wysiłków, aby nie spaść z konia. Ujrzawszy otwartą bramę wjechał: była to gospoda „Pod Strzemieniem”. Nadbiegła pocziwa gospodyni, kobieta olbrzymiej tuszy; zawołała o pomoc głosem drgającym litością. Dwie młode dziewczyny pomogły Fabrycemu zejść na ziemię; ledwie zsiadł z konia, zemdlał na dobre. Przywołano chirurga, puścił mu krew. Przez ten dzień i przez kilka następnych Fabrycy nie bardzo wiedział, co się z nim dzieje, spał bez ustanku.

Pchnięcie w udo groziło mu utworzeniem się abscesu. Kiedy nieco oprzytomniał, prosił, aby pamiętano o jego koniu, i powtarzał często, że dobrze zapłaci, co obrażało pocziwą oberżystkę i jej córki. Minęły dwa tygodnie, przez które był najtroskliwiej pielęgnowany, i zaczynał przychodzić nieco do siebie; naraz jednego wieczora ujrzał, że gospodynie jego mają miny wielce strapione.

Niebawem wszedł do izby niemiecki oficer; rozmawiały z nim w języku, którego Fabrycy nie rozumiał, ale odgadł, że mowa o nim; udał, że śpi. W chwilę później, kiedy sądził, że oficer musiał już wyjść, przywołał swoje gosposie:

– Czy ten oficer zapisał mnie na liście i chce mnie wziąć do niewoli?

Oberżystka przytwardziła ze łzami w oczach.

– Mam pieniądze zaszyte w dolmanie! – zawołał, podnosząc się na łożku – kupcie mi cywilne ubranie i tej nocy jeszcze odjeżdżam na swoim koniu. Ocaliłyście mi już raz życie, przygarniając mnie w chwili, gdy miałem paść martwy na ulicy, ocalcie mi je jeszcze raz, pomóżcie mi wrócić do matki.

Przy tych słowach córki gospodyni rozplakały się; drżały o Fabrycego, że zaś bardzo słabo rozumiały po francusku, zbliżyły się do łożka z pytaniami. Rozmawiały żywo po flamandzku z matką, ale co chwila zwracały roztkliwione oczy na naszego bohatera; odgadł, że jego ucieczka może je poważnie narazić, ale że chcą podjąć to ryzyko. Podziękował im gorąco, składając ręce z rozczuleniem. Miejscowy Żydek dostarczył cywilnego ubrania, ale kiedy o dziesiątej wieczór przyniesiono je, panienki spostrzegły, porównując je z dolmanem Fabrycego, że trzeba je znacznie zwięzić. Natychmiast wzięły się do roboty, nie było czasu do stracenia. Fabrycy wskazał kilka napoleonów zaszytych w mundurze i prosił gospodynię, aby mu je zaszyły do nowego ubrania. Wraz z ubranem przyniesiono parę butów, piękną parę nowych butów, w których na prośbę Fabrycego panienki ukryły w podszewce kilka jego diamentów.

Upływ krwi i wynikłe stąd osłabienie miały ten osobliwy skutek, że Fabrycy prawie zupełnie zapomniał po francusku; przemawiał do swoich gospodyń po włosku, one zaś mówiły narzeczem flamandzkim, tak iż porozumiewali się prawie wyłącznie na migi. Kiedy dziewczęta, zresztą zupełnie bezinteresowne, ujrzały diamenty, entuzjizm ich dla Fabrycego nie miał już granic; brały go za przebranego księcia. Aniken, młodsza i bardziej naiwna, uściskała go po prostu. Fabrycy był nimi również oczarowany; koło północy, kiedy chirurg pozwolił mu nieco wina dla wzmocnienia przed drogą, prawie że miał ochotę nie jechać. „Gdzie mogłoby mi być lepiej niż tu?” – mówił. Mimo to około drugiej po północy ubrał się. W chwili gdy miał opuścić pokój, zacna gospodyni oznajmiła mu, że konia jego zabrał oficer, który kilka godzin wprzód odprawiał w domu rewizję.

– A, ścierwo! – zaklął Fabrycy – rannemu!

Młody Włoch nie był dostatecznie filozofem, aby pamiętać, w jaki sposób on sam nabył tego konia.

Aniken opowiedziała mu, płacząc, że wynajęto dlań konia; byłaby chciała, aby nie jechał. Pożegnanie było tkliwe. Dwaj rośli młodzi ludzie, krewniacy gospodyni, podnieśli Fabrycego na siodło i przez drogę podtrzymywali go na koniu, gdy trzeci, wyprzedzając o paręset kroków mały konwój, badał, czy nie ma podejrzanego patrolu na drodze. Po dwóch godzinach zatrzymali się u krewniaczki. Mimo wzdragań Fabrycego młodzi ludzie nie chcieli go opuścić; twierdzili, że lepiej niż ktokolwiek znają przejścia w lasach.

– Ależ jutro, kiedy wyjdzie na jaw moja ucieczka, a was nie będzie w domu, nieobecność zdradzi was – powtarzał Fabrycy.

Puścili się w dalszą drogę. Szczęściem, kiedy się robił dzień, równina była pokryta gęstą mgłą. Około ósmej rano przybyli do miasteczka. Jeden z młodych ludzi zaszedł dowiedzieć się, czy nie skradziono koni pocztowych. Poczmiistrz zdążył je usunąć i postarał się o haniebne szkapy, którymi zapełnił stajnię. Poszukali pary koni w bagnach, gdzie były ukryte, i w trzy godziny później Fabrycy wsiadł do małego koczka, bardzo zniszczonego, ale zaprzężonego w dwa dobre konie pocztowe. Odzyskał nieco sił. Rozstanie z młodymi ludźmi, krewnymi gospodyni, było nad wyraz wzruszające; za żadną cenę, mimo uprzejmych pozorów, jakie temu nadawał Fabrycy, nie chcieli przyjąć pieniędzy.

– W tej chwili, drogi panie, potrzebuje ich pan więcej od nas – odpowiadali wciąż zacni chłopcy.

Wreszcie odjechali z listami, w których Fabrycy, nieco orzeźwiony ruchem, starał się wyrazić swoim gospodyniom wszystko, co czuł dla nich. Fabrycy pisał ze łzami w oczach; list pisany do Aniken z pewnością oddychał miłością.

Reszta podróży odbyła się bez szczególnych wydarzeń. Kiedy Fabrycy przybył do Amiens, cierpiał bardzo od rany w udzie; wiejski chirurg nie dał odpływu materii; jakoż mimo puszczenia krwi utworzył się absces. Przez dwa tygodnie, które Fabrycy spędził w gospodzie w Amiens, dzierżawionej przez rodzinę obleśną i chciwą, okupanci zalewali Francję. Fabrycy tyle się nadumał nad wszystkim, co świeżo przeżył, że stał się jakby innym człowiekiem. Został dzieckiem tylko na jednym punkcie: to, co widział, czy to była bitwa? i czy ta bitwa to było Waterloo? Pierwszy raz w życiu znajdował przyjemność w czytaniu, spodziewał się wciąż znaleźć w dzienniku albo w opowiadaniach z bitwy jakiś opis pozwalający mu rozpoznać miejsca, które przebył w orszaku marszałka Ney, a później innego generała. Przez czas pobytu w Amiens pisał prawie co dzień do swoich zacnych przyjaciółek z gospody „Pod Strzemieniem”. Skoro tylko wyzdrowiał, udał się do Paryża; zastał tam w swej dawnej gospodzie ze dwadzieścia listów od matki i ciotki, które błagały go, aby najrychlej wracał. Ostatni list hrabiny Pietranera pisany był w zagadkowym tonie, który zaniepokoił go mocno; list ten rozwiął wszystkie jego tkliwe rojenia. Była to natura, której trzeba tylko słowa, aby obudzić najczarniejsze przeczucia; wyobraźnia umiała później odmalować te nieszczęścia z najokrutniejszymi szczegółami.

Strzeż się podpisywać listy, w których donosisz o sobie – pisała ciotka. Gdy będziesz wracał, nie przyjeżdżaj nad Como; zatrzymaj się w Lugano, na terytorium szwajcarskim.

Ma przybyć do tego miasta pod nazwiskiem Cavi; w najlepszej gospodzie zastanie lokaja hrabiny, który powie mu, co czynić. Ciotka kończyła tak:

Ukryj wszelkimi możliwymi środkami szaleństwo, któreś popełnił, a zwłaszcza nie chowaj przy sobie żadnego drukowanego ani pisanego świstka; w Szwajcarii będą ci deptać po piętach drухy Świętej Małgorzaty<sup>24</sup>. Jeśli będę miała dość pieniędzy – pisała hrabina – pošlę kogoś do Genewy, do hotelu „Pod Wagą”; tam dowiesz się szczegółów, których nie mogę pisać, a które trzeba ci znać, nim przyjedziesz. Ale na imię nieba, ani dnia dłużej w Paryżu: szpicle poznaliby cię.

Wyobraźnia Fabrycego zaczęła roić najdziwniejsze rzeczy; niezdolny był zająć się czymś innym, jak tylko odgadywaniem tajemniczych słów ciotki. Dwa razy w czasie podróży przez Francję przytrzymano go, ale umiał się wykręcić; utrapienia te ściągnął nań włoski paszport handlarza barometrów, z którym nieszczęśliwie godziła się młoda twarz i ręka na temblaku.

Wreszcie w Genewie zastał jednego z domowników hrabiny, który opowiedział, że do policji mediolańskiej zadenuncjowano Fabrycego jako człowieka, który zawiózł Napoleonowi propozycje uchwalone przez rozległe sprzysiężenie zorganizowane w byłym królestwie Włoch. „Gdyby podróż jego nie miała tego celu – mówiła denuncjacja – po co przybierałby obce nazwisko?” Matka Fabrycego będzie się starała dowieść autentycznej prawdy, a mianowicie: *primo*, że nigdy nie opuszczał Szwajcarii; *secundo*, że wyjechał z zamku niespodzianie, wskutek kłótni ze starszym bratem.

Opowieść ta przejęła Fabrycego dumą. „Ja miałem być posłem do Napoleona! – powiadał sobie – miałem zaszczyt rozmawiać z tym wielkim człowiekiem; dałby to Bóg!” Przypomniał sobie, że jego przodek w siódmym pokoleniu, wnuk owego, który przybył do Mediolanu ze Sforzą, dostał tego zaszczytu, iż był ścięty przez wrogów księcia, którzy schwycili go, kiedy jechał celem porozumienia się z wiernymi kantonami i dla zaciągu żołnierzy. Widział oczami duszy sztych z obrazem tego faktu, znajdujący się w archiwach rodzinnych. Wypytyując służącego, Fabrycy doszedł, że ów oburzony

---

<sup>24</sup> w Szwajcarii będą ci deptać po piętach drухy Świętej Małgorzaty – Pan Pellico nadal tej nazwie europejski rozgłos: jest to miano ulicy w Mediolanie, gdzie znajduje się gmach policji i więzienia [Silvio Pellico (1789–1854) – wł. pisarz i poeta, karbonariusz, za działalność spiskową więziony m.in. w twierdzy Szpilberg na Morawach; autor książki *Moje więzienia*; Red.]. [przypis autorski]

jest szczegółem, który wymknął mu się zresztą mimo woli, wbrew wyraźnym rozkazom hrabiny: to Askaniusz, starszy brat, wydał brata policji! To straszne odkrycie wtrąciło naszego bohatera w istne szaleństwo. Aby się dostać z Genewy do Włoch, trzeba jechać przez Lozannę; chciał iść natychmiast pieszo, robiąc dziesięć czy dwanaście mil, mimo że dylżans z Genewy do Lozanny odchodził za dwie godziny. Nim opuścił Genewę, wplątał się w miejscowej kawiarence w sprzeczkę z młodym człowiekiem, który – zdaniem Fabrycego – przyglądał mu się w osobliwy sposób. Była to szczerza prawda: młody genewczyk, flegmatyczny, rozsądny, myślący jedynie o pieniądzach, sądził, że Fabrycy oszalał; wchodząc, bohater nasz objął cały pokój wściekłym spojrzeniem, po czym oblał sobie spodnie kawą, którą mu podano. W zwadzie tej pierwszy odruch Fabrycego był zupełnie szesnastowieczny: zamiast wyzwąć genewczyka na pojedynek, dobył sztylet i rzucił się nań, chcąc go przebić. W tej chwili Fabrycy zapomniał wyuczonych prawideł honoru i wracał do instynktu lub – aby rzec lepiej – do wspomnień pierwszego dzieciństwa.

Zaufany człowiek, którego zastał w Lugano, pomnożył jego wściekłość, dostarczając mu nowych szczegółów. Fabrycego w Grianta wszyscy kochali, toteż nikt nie byłby wspomniął jego imienia i – gdyby nie miły postępek jego brata – wszyscy udawaliby, że wierzą, iż jest w Mediolanie, i jego nieobecność nigdy nie byłaby ściągnęła uwagi miejscowej policji.

– Z pewnością straż graniczna ma pański rysopis – rzekł wysłannik ciotki – gdybyśmy się puścili gościć, przytrzymano by pana na granicy lombardzko-weneckiego królestwa.

Fabrycy i jego ludzie znali najmniejsze ścieżki w górach dzielących Lugano od jeziora Como; przebrali się za strzelców, to znaczy za przemytników, że zaś było ich trzech z minami dość chwackimi, strażnicy, których spotkali, skłonili się im grzecznie. Fabrycy wymierzył tak, aby przybyć do zamku około północy; o tej godzinie ojciec i upudrowani lokaje spali od dawna. Zeszedł bez trudu do głębokiej fosy i dostał się do zamku przez okienko od piwnicy; tam czekały nań matka i ciotka; nadbiegły i siostry. Wybuch czułości i łez trwał długo; kiedy zaczęto wreszcie mówić rozsądnie, pierwszy brzask ostrzegł te istoty, uważające się za nieszczęśliwe, że czas ucieka.

– Mam nadzieję, że brat nie domyślił się twego przybycia – rzekła pani Pietranera. – Nie odzywałam się do niego od jego pięknego postępków i uczynił mi tyle zaszczytu, że był tym mocno dotknięty. Dziś wieczór przy wieczerzy raczyłam doń przemówić: trzeba mi było pozorować, aby ukryć szaloną radość, która mogła w nim obudzić podejrzenia. Następnie, skorom ujrzała, że jest dumny z tego mniemanego pojednania, skorzystałam z jego radości, aby w niego lać wino bez miary, i z pewnością nie pozostało mu w myśli zacząć się, aby dalej prowadzić swoje szpiegowskie rzemiosło.

– Trzeba ukryć naszego huzara w twoich pokojach – rzekła margrabina – nie może jechać zaraz: w tej chwili nie dosyć panujemy nad naszym rozsądkiem, a chodzi o obmyślenie sposobu, aby oszukać straszliwą policję mediolańską.

Wprowadzono tę myśl w czyn; ale margrabia i jego syn zauważyli już następnego dnia, iż margrabina wciąż siedzi w pokoju szwagierki. Nie będziemy tracili czasu na kreślenie tkliwości i wesela, które tego dnia poruszały serca szczęśliwych istot. Włoskie serca podlegają o wiele więcej od nas podejrzeniom i szalonym myślom, które im podsuwa płomienna wyobraźnia; ale w zamian radości ich są silniejsze i trwalsze. Tego dnia hrabina i margrabina były jak oszalałe; Fabrycy musiał wciąż powtarzać swoje opowiadania; wreszcie postanowiono ukryć wspólną radość w Mediolanie, tak trudno było umknąć na dłużej czujności margrabiego i jego syna.

Wzięto pałacową łódkę, aby się udać do Como: postąpić inaczej – znaczyłoby obudzić podejrzenia. Ale przybywszy do portu Como, margrabina przypomniała sobie, że zostawiła w Grianta ważne papiery; posłała po nie przewoźników, którzy w ten sposób nie mogli mieć pojęcia o tym, jak obie panie spędziły czas w Como. Zaraz po przybyciu wynajęły powóz czekający na gości opodal owej średniowiecznej wieży, która wznosi się nad bramą. Ruszono, zanim woźnica miał czas z kimkolwiek się porozumieć. Ćwierć mili za miastem zjawił się młody myśliwy, znajomy pan, który przez grzeczność – ile że nie miały z sobą żadnego mężczyzny – ofiarował się służyć im za kawalera aż do bram Mediolanu, dokąd wędrował, polując po drodze. Wszystko było dobrze, panie najweselej

w świecie gawędziły z młodym wędrowcem, kiedy na zakręcie drogi, okalającej urocze wzgórze i lasek San Giovanni, trzech przebrani żandarmi obskoczyli powóz, chwytając konie za cugle.

– Och! mąż zdradził nas! – krzyknęła margrabina i zemdląła.

Wachmistrz, który został nieco w tyle, zbliżył się chwiejnym krokiem i rzekł głosem mocno trącącym szynkownią:

– Wielce mi jest przykra ta misja, której mam dopełnić, ale aresztuję pana, generale Fabio Conti.

Fabrycy sądził, że tytuł *generała* jest niemądrym żarcikiem wachmistrza. „Zapłacisz mi za to” – rzekł sobie. Spoglądał na przebranych żandarmów i czekał sposobnej chwili, aby wyskoczyć i uciec przez pola.

Hrabina uśmiechnęła się na wszelki wypadek, po czym rzekła:

– Ależ, drogi panie sierzancie, tego szesnastoletniego chłopczykę bierze pan za generała Conti?

– Czy pani nie jest córką generała? – odparł wachmistrz.

– Przypatrzcie się, panowie: oto mój ojciec – rzekła hrabina, pokazując Fabrycego.

Żandarmi zaczęli się śmiać jak szaleni.

– Proszę pokazać paszporty, bez rozumowań – rzekł wachmistrz, podrażniony powszechną wesołością.

– Te panie nigdy nie biorą paszportów jadąc do Mediolanu – rzekł woźnica chłodnym i filozoficznym tonem – jadą ze swego zamku w Grianta. Ta pani to hrabina Pietranera, a to margrabina del Dongo.

Wachmistrz, zbity z tropu, oddalił się o kilka kroków, aby się naradzić ze swymi ludźmi. Narada trwała dobrych kilka minut, kiedy hrabina Pietranera poprosiła, aby powóz mógł zjechać o kilka kroków w cień – upał był morderczy, mimo że była dopiero jedenasta rano. Fabrycy, który rozglądał się uważnie na wszystkie strony szukając sposobu ucieczki, ujrzał, jak wynurzywszy się ze ścieżki w polach zbliża się do gościńca pełnego kurzu dziewczyna czternasto- lub piętnastoletnia, popłakując łękliwie i ocierając oczy chusteczką. Szła między dwoma żandarmami w mundurach, a o trzy kroki za nią, również w otoczeniu żandarmów, szedł wysoki, chudy mężczyzna, siłący się na powagę niby prefekt na procesji.

– Gdzieżecie ich znaleźli? – rzekł wachmistrz, już zupełnie pijany w tej chwili.

– Uciekali przez pola, bez śladziku paszportów.

Wachmistrz stracił zupełnie głowę; miał pięciu jeńców zamiast dwóch, których mu było trzeba. Oddalił się o kilka kroków, zostawiając tylko jednego człowieka dla strzeżenia więźnia przybierającego majestatyczne tony, a drugiego, aby nie pozwolił koniom ruszyć z miejsca.

– Zostań – rzekła hrabina do Fabrycego, który już zeskoczył na ziemię, wszystko się ułoży.

Jeden z żandarmów wykrzykiwał:

– Mniejsza z tym! Jeżeli nie mają paszportów, to także dobra zdobycz.

Wachmistrz nie wydawał się równie zdecydowany; nazwisko hrabiny Pietranera zaniepokoiło go; znał nieboszczyka generała, o którego śmierci nie wiedział. „Generał nie jest człowiekiem, który by puścił płazem uwięzienie żony” – myślał.

W czasie tych rokowań, które przeciągnęły się nad miarę, hrabina wdała się w rozmowę z młodą dziewczyną, stojącą w kurzu obok powozu – uderzyła ją jej uroda.

– Głowa panią rozboli od tego słońca. Ten dzielny żołnierz – rzekła wskazując na żandarma przy koniach – pozwoli pani wsiąść.

Fabrycy, który kręcił się koło kolaski, zbliżał się, aby pomóc młodej panience. Ta już stawała na stopniu, podtrzymywana przez Fabrycego, kiedy imponujący jegomość, stojący o sześć kroków za powozem, wykrzyknął głosem siłącym się na wyraz godności:

– Zostań na gościńcu, nie siadaj do cudzego powozu!

Fabrycy nie słyszał tego rozkazu; panna, zamiast siadać do kolaski, chciała wysiąść; podparta ramieniem Fabrycego wpadła w jego objęcia. On się uśmiechnął, ona zaczerwieniła się mocno. Kiedy się oswobodziła z jego rąk, stali jakiś czas, przyglądając się sobie.

„To byłaby urocza towarzyszka więzienia – rzekł sobie Fabrycy – co za szlachetne i myślące czoło! Ona umiałaby kochać!”

Wachmistrz zbliżył się z powagą w obliczu.

– Która z tych pań nazywa się Klelia Conti?

– Ja – odparła panna.

– A ja – wykrzyknął stary jegomość – jestem generał Fabio Conti, szambelan Jego Wysokości najdostojniejszego księcia Parmy, i uważam za bardzo niewłaściwe, aby człowieka mego stanowiska ścigano jak złodzieja.

– Przedwczoraj siadłszy na statek w porcie Como przepędził pan inspektora policji, który pana pytał o paszport? Dziś on nawzajem pozwolił sobie pana trochę przepędzić.

– Łódź już odbiła od brzegu, śpieszyło mi się, nadciągała burza; cywil jakiś krzyknął z brzegu, abym wracał; powiedziałem mu swoje nazwisko i jechałem dalej.

– A dziś uciekł pan z Como.

– Taki człowiek jak ja nie bierze paszportu, aby jechać z Mediolanu spacerem nad jezioro. Dziś rano w Como powiedziano mi, że mają mnie aresztować; wyszedłem pieszo z córką, miałem nadzieję spotkać jakiś wehikuł, który by mnie zawiózł do Mediolanu, gdzie pierwszym moim krokiem będzie poskarżyć się u gubernatora.

Wachmistrzowi spadł ciężar z serca.

– A więc, generale, jesteś pan więźniem i zaprowadzę pana do Mediolanu. A pan kto jesteś? – zwrócił się do Fabrycego.

– Mój syn – odparła hrabina – Askaniusz, syn generała dywizji Pietranera.

– Bez paszportu, pani hrabino? – rzekł wachmistrz łagodnie.

– W jego wieku! Nigdy jeszcze nie miał paszportu, nie podróżuje nigdy sam, zawsze jest ze mną.

Podczas tej rozmowy generał Conti przybierał wobec żandarmów minę coraz to bardziej obrażonej godności.

– Za dużo słów – rzekł jeden z żandarmów – jest pan aresztowany, i basta.

– Powinien pan być zadowolony – rzekł wachmistrz – jeżeli się zgodzimy, abyś najął chłopskiego konia; inaczej mimo kurzu i gorąca, i mimo rangi szambelana, pójdziesz pan ślicznie piechotą między końmi.

Generał zaczął kłąć.

– Zamkniesz ty gębę! – dorzucił żandarm. – Gdzie twój generalski mundur? Czy pierwszy lepszy nie może powiedzieć, że jest generałem?

Generał pogniewał się na dobre. Przez ten czas w kolasce układały się rzeczy o wiele lepiej.

Hrabina komenderowała żandarmami, jak gdyby to byli jej ludzie. Dała talara jednemu, aby poszedł po wino, a zwłaszcza po świeżą wodę do kantyny, którą widać było o dwieście kroków. Zdołała uspokoić Fabrycego, który koniecznie chciał umykać do lasu porastającego wzgórze. „Mam dobre pistolety” – mówił. Uzyskała od obrażonego generała to, że pozwolił córce wsiąść do powozu. Przy tej sposobności generał, który lubił mówić o sobie i swej rodzinie, powiadomił panie, że córka jego ma dopiero dwanaście lat, jako że urodziła się w roku 1803, 27 października; ale wszyscy dają jej czternaście albo piętnaście, taka jest inteligentna.

„Człowiek na wskroś pospolity” – mówiły oczy hrabiny do margrabiny. Dzięki hrabinie wszystko ułożyło się po godzinnej rozmowie. Jeden z żandarmów, który – jak się okazało – miał interes w sąsiedniej wiosce, wynajął swego konia generałowi Conti dzięki temu słoweczku hrabiny: „Dostaniesz dziesięć franków.” Wachmistrz pojechał z generałem; reszta żandarmów została pod drzewami w towarzystwie czterech olbrzymich gąsiorów wina, które posłany do gospody żandarm

przyniósł z pomocą wieśniaka. Klelia otrzymała od godnego szambelana pozwolenie odbycia drogi do Mediolanu w powozie pań, nikomu zaś nie powstało w głowie niepokoić syna dzielnego generała Pietranera. Po pierwszej wymianie uprzejmości oraz omówieniu tego szczęśliwego zakończenia wypadku w podróży Klelia zauważyła odcień uwielbienia, z jakim ta piękna hrabina zwraca się do Fabrycego – z pewnością nie jest jego matką! Uwagę panienki zwróciły zwłaszcza częste aluzje do czegoś heroicznego, śmiałego, nad wyraz niebezpiecznego, czego dokonał niedawno; ale mimo całej inteligencji młoda Klelia nie mogła zgadnąć, o co chodzi.

Patrzała ze zdziwieniem na młodego bohatera, którego oczy jak gdyby oddychały jeszcze ogniem świeżego czynu. Co się tyczy Fabrycego, był nieco oszołomiony pięknnością dwunastoletniej dziewczyny, a spojrzenia jego przyprawiały ją o rumieniec.

Na miłą przed Mediolanem Fabrycy oznajmił, że musi odwiedzić wuja, i pożegnał się z paniami.

– Jeśli wyplączę się z tej sprawy – rzekł do Klelii – przyjadę do Parmy obejrzyć piękne olejne obrazy; czy wówczas raczy pani zapamiętać moje nazwisko: Fabrycy del Dongo?

– Ślicznie – powiedziała hrabina – więc tak zachowujesz swoje incognito? A panienkę prosimy, aby zechciała zapamiętać, że ten nicdobrego jest moim synem i nazywa się Pietranera, a nie del Dongo.

Późno wieczorem Fabrycy wśliznął się do Mediolanu bramą Renza, która wiedzie do modnego miejsca przechadzki. Wysłanie dwóch domowników do Szwajcarii wyczerpało drobne oszczędności margrabin i jej siostry; szczęściem Fabrycy miał jeszcze parę napoleonów i jeden diament, który postanowiono sprzedać.

Obie panie znały całe miasto i były bardzo kochane; najznacześniejsze figury austriackiego i klerykalnego stronnictwa wstawiły się za Fabrycym do barona Bindera, naczelnika policji.

– To niepojęte – mówiły – jak można brać serio wybryk szesnastoletniego dzieciaka, który się pokłócił z bratem i uciekł z domu.

– Moim rzemiosłem jest wszystko brać serio – odpowiedział łagodnie baron Binder, człowiek rozumny i smutny; stwarzał wówczas słynną policję mediolańską i postanowił uniemożliwić rewolucję, taką jak owa w 1740 roku<sup>25</sup>, która wypędziła Austriaków z Genui. Ta policja mediolańska, tak wstawiona później przygodami panów Pellico<sup>26</sup> i Andryane<sup>27</sup>, nie była właściwie okrutna; wykonywała tylko racjonalnie i bez litości surowe prawa. Cesarz Franciszek II chciał przejąć grozą zuchwałę włoskie wyobraźnie.

– Dajcie mi, panowie, dzień po dniu – odpowiadał baron Binder protektorom Fabrycego – *udowodnioną* relację wszystkiego, co robił marchesino del Dongo od chwili, gdy opuścił Grianta 8 marca, aż do swego wczorajszego przybycia do tego miasta, gdzie znajduje się ukryty u matki, a jestem gotów uważać go za najmilszego urwisa pod słońcem. Ale jeśli nie możecie mi przedstawić marszruty tego młodego człowieka przez cały czas, który upłynął od jego wyjazdu z Grianta, wówczas mimo jego znakomitego urodzenia i mimo szacunku, jaki mam dla przyjaciół jego domu, czyż nie jest moim obowiązkiem aresztować go? Czyż nie powinienem trzymać go w więzieniu, póki mi nie udowodni, że nie jeździł do Napoleona z poselstwem od garstki malkontentów, jacy się mogą znaleźć w Lombardii wśród poddanych Jego Cesarskiej i Królewskiej Mości? Zważcie jeszcze, panowie, że jeśli młody del Dongo zdoła się usprawiedliwić na tym punkcie, zostanie jeszcze winny, że przekroczył granicę bez legalnego paszportu, co więcej, pod fałszywym nazwiskiem, świadomie korzystając z paszportu prostego robotnika, osobnika klasy o tyle niższej!

---

<sup>25</sup> postanowił uniemożliwić rewolucję, taką jak owa w 1740 roku – mowa tu o powstaniu ludowym w Genui w 1746 r. [które zmusiło Austriaków do opuszczenia zajętego przez nich miasta (wojna o sukcesję austriacką); Red.]. [przypis redakcyjny]

<sup>26</sup> *Silvio Pellico* (1789–1854) – wł. pisarz i poeta, karbonariusz, za działalność spiskową więziony m.in. w twierdzy Szpilberg na Morawach; autor książki *Moje więzienia*. [przypis edytorski]

<sup>27</sup> *Alexandre Andryane* (1797–1863) – fr. karbonariusz, za swą działalność więziony w Szpilbergu, autor *Pamiętników więźnia stanu*. [przypis redakcyjny]

Oświadczeniu temu bezlitośnie rozsądnemu towarzyszyły wszystkie oznaki szacunku i czci, jakie naczelnik policji winien był pozycji margrabin del Dongo oraz osób, które się za nią wstawiały.

Margrabina wpadła w rozpacz, dowiedziawszy się, jaka była odpowiedź barona Bindera.

– Uwięź Fabrycego! – wykrzyknęła z płaczem – a skoro raz znajdzie się w więzieniu, Bóg wie, kiedy się wydostanie. Ojciec się go wyprze!

Pani Pietranera i jej bratowa odbyły naradę z bliskimi przyjaciółmi; mimo wszelkich przedłożeń margrabina nastawała, aby jej syn wyjechał najbliższej nocy.

– Widzisz przecież – mówiła hrabina – że Binder wie, iż syn twój jest tutaj; to nie musi być zły człowiek.

– Nie, ale chce się przypodobać cesarzowi Franciszkowi.

– Ależ gdyby uważał, że dla jego kariery korzystne jest wtrącić Fabrycego do więzienia, już by chłopiec tam był; uciekać znaczy okazywać mu obrażającą nieufność.

– Ależ dać nam do zrozumienia, że wie, gdzie jest Fabrycy, znaczy powiedzieć: „Niechże ucieka!” Nie, nie odetchnę póty, póki będę musiała sobie powtarzać: „Za kwadrans syn mój znajdzie się może za kratą!” Jakiegokolwiek byłyby ambicje Bindera, uważa on za pożyteczne dla swej osobistej pozycji w tym kraju okazywać względy człowiekowi takiemu jak mój mąż; a dowodem tego dziwna otwartość, z jaką wyznaje, że wie, gdzie szukać mego syna. Co więcej baron wyszczególnia wręcz dwa punkty, o które Fabrycy jest oskarżony w myśl denuncjacji jego niecnego brata; wyjaśnia, że oba te przestępstwa pociągają za sobą więzienie; czyż to nie znaczy powiedzieć nam, że jeśli wolimy wygnanie, mamy wolny wybór?

– Jeśli wybierzesz wygnanie – powtarzała hrabina – już go nie ujrzymy.

Fabrycy, obecny przy tej rozmowie wraz z jednym z dawnych przyjaciół margrabin, obecnie rajcą przy trybunale stworzonym przez Austrię, podzielał zdanie, że trzeba dać nura; jakoż tego samego dnia opuścił pałac, ukryty w powozie, który wiózł do teatru „La Scala” matkę i ciotkę. Woźnica, osobnik podejrzany, wstąpił jak zwykle do szynku; gdy lokaj, człowiek pewny, pilnował koni, Fabrycy, przebrany za wieśniaka, wysliznął się z karety i opuścił miasto. Nazajutrz równie szczęśliwie przebył granicę, a w kilka godzin później był w majątku matki w Piemontcie, blisko Nowary, właśnie w owym Romagnano, gdzie poległ Bayard<sup>28</sup>.

Można sobie wyobrazić, z jaką uwagą obie panie, znalazłszy się w łoży w „La Scala”, słuchały przedstawienia. Udały się tam jedynie po to, aby się naradzić z paroma przyjaciółmi należącymi do stronnictwa liberalnego, których pojawienie się w pałacu del Dongo mogłoby się wydać policji podejrzane. W łoży postanowiono jeszcze raz uderzyć do barona Bindera. Nie mogło być mowy o przekupieniu tego nieskazitelnego urzędnika; zresztą obie panie były bardzo biedne; zmusiły Fabrycego, aby zabrał wszystko, co zostało ze sprzedaży diamentu.

Bardzo ważne wszelako było uzyskać od barona ostatnie słowo. Przyjaciele hrabiny przypomnieli jej niejakiego kanonika Borda, bardzo gładkiego młodego człowieka, który niegdyś próbował się do niej zalecać, i to w dość niesmaczny sposób; nie mogąc nic wskórać, zadenuncjował przed generałem Pietranera jej stosunek z Limercatim, za co wypędzono go jak łajdaka. Obecnie kanonik ów grywał co wieczór w laroka z baronową Binder i oczywiście był serdecznym przyjacielem męża. Hrabina zdobyła się na straszliwie przykry krok: postanowiła iść do tego kanonika. Wcześniej rano, nim wyszedł z domu, kazała się oznajmić.

Kiedy jedyny służący wymówił nazwisko hrabiny Pietranera, człowiek ten wzruszył się tak, że niemal stracił głos; nie pomyślał nawet o tym, aby poprawić nieco swój negliz.

– Wprowadź i odejdz – rzekł zdławionym głosem.

Hrabina weszła; Borda rzucił się na kolana.

---

<sup>28</sup> *Pierre du Terrail de Bayard* – legendarny rycerz fr., zginął podczas wyprawy Franciszka I na Mediolan (1524). [przypis redakcyjny]

– W tej pozycji nieszczęsny szaleniec winien przyjąć pani rozkazy – rzekł do hrabiny, która tego rana, w swym skromnym, nie rzucającym się w oczy stroju, była nieodparcie urocza. Troska o losy Fabrycego, gwałt, jaki sobie zadała, aby przyjąć do człowieka, który tak haniebnie z nią postąpił, wszystko to dawało jej spojrzeń niewysłowiony blask.

– W tej pozycji pragnę przyjąć pani rozkazy! – wykrzyknął kanonik, jasne bowiem jest, że pani żąda ode mnie jakiejś usługi, inaczej nie zaszczyliłabyś swą obecnością domu nieszczęśliwego szaleńca: niegdyś, oszołomiony miłością i zazdrością, zachował się wobec pani jak nikczemnik, skoro poznał, że nie może marzyć o twej miłości.

Słowa te były szczerze i tym piękniejsze, iż kanonik zażywał obecnie wielkiego wpływu. Hrabinę wzruszyły one do łez; upokorzenie, lęk, które mroziły jej duszę, ustąpiły w jednej chwili roztkliwieniu i nadziei. Z osoby ciężko strapionej stała się w mgnieniu oka nieomal szczęśliwą.

– Pocałuj mnie w rękę – rzekła do kanonika, podając mu ją – i wstań! (Trzeba wiedzieć, że we Włoszech tykanie oznacza szczerą przyjaźń równie dobrze jak tkliwsze uczucie.) Przychodzę prosić cię o łaskę dla mego bratanka Fabrycego. Oto zupełna prawda, bez najmniejszego fałszu, tak jak się mówi staremu przyjacielowi. Niespełna siedemnastoletni chłopak popełnił szaleństwo. Byliśmy w Grianta, nad jeziorem Como. Pewnego wieczora statek z Como przyniósł nam wiadomość o wylądowaniu cesarza w zatoce Juan. Nazajutrz Fabrycy puścił się do Francji, wzięwszy paszport od jednego z oddanych mu prostaczków, handlarza barometrów, niejakiego Vasi. Ponieważ nie bardzo wyglądał na handlarza barometrów, przeto – skoro tylko znalazł się we Francji – uwięziono go; jego wybuchy entuzjazmu w licej francuszczyźnie wydały się podejrzone. Po jakimś czasie umknął i zdołał się dostać do Genewy; posłaliśmy na jego spotkanie do Lugano...

– To znaczy do Genewy – rzekł kanonik z uśmiechem.

Hrabina dokończyła historii.

– Zrobię wszystko, co jest w mocy ludzkiej – rzekł kanonik z zapałem – oddaję się na pani rozkazy. Gotów jestem posunąć się do szaleństwa. Niech pani powie, co mam uczynić z chwilą, gdy z tego ubogiego salonu zniknie niebiańskie zjawisko, które stanowi epokę w moim życiu.

– Trzeba iść do Bindera, powiedzieć mu, że pan kocha Fabrycego od dzieciństwa, żeś patrzył na urodzenie tego chłopca, wówczas gdyś bywał u nas; wreszcie, że w imię przyjaźni błagasz barona, by użył wszystkich szpiegów na sprawdzenie, czy przed wyjazdem do Szwajcarii Fabrycy miał najmniejszą styczność z którymś z będących pod jego obserwacją liberałów. O ile baron ma policję dobrze zorganizowaną, przekona się, że chodzi tu jedynie o szaleństwo młodości. Pamięta pan, że były w moim mieszkaniu, w pałacu Dugnani, sztychy przedstawiające zwycięskie bitwy Napoleona; sylabizując podpisy tych rycin, Fabrycy nauczył się czytać. Pięcioletniemu dziecku biedny mój mąż opowiadał o tych bitwach; kładliśmy mu na głowę kask męża, dzieciak włókł po posadzce jego szablę. I oto pewnego pięknego dnia dowiaduje się, że bóstwo mego męża, cesarz, wrócił do Francji; pędzi jak szaleniec, aby mu towarzyszyć, ale mu się to nie udaje. Spytaj pan barona, jaką karą chce skarać tę chwilę obłądu.

– Zapomniałem o jednym! – wykrzyknął kanonik – przekona się pani, że nie jestem tak całkiem niegodny przebaczenia, którego mi pani użycza. Oto – rzekł szukając między papierami – doniesienie tego bezecnego *col forto* (hipokryty), patrz, pani, podpisane: „Ascanio Valserra del Dongo”, które stało się punktem wyjścia tej całej sprawy. Wziąłem je wczoraj wieczór z policji i poszedłem do „La Scala” w nadziei znalezienia tam kogoś, kto bywa w pani łoży i przez kogo mógłbym panią powiadomić o tym dokumencie. Odpis znajduje się od dawna w Wiedniu. Oto wróg, którego trzeba nam zwalczać.

Kanonik przeczytał z hrabiną denuncjację; ułożono, że w ciągu dnia dostarczy przez pewną osobę odpisu. Z radością w sercu wróciła hrabina do pałacu del Dongo.

– Niepodobna okazać więcej delikatności niż ten eks-łajdak – rzekła do margrabiny. – Dziś wieczór w „La Scala” trzy kwadransy na jedenastą wyprawimy wszystkich z łoży, zgasimy świece,

zamkniemy drzwi, a o jedenastej kanonik przyjdzie nam zdać sprawę z tego, co zdołał uczynić. To najmniej dla niego kompromitujący sposób.

Ów kanonik był to sprytny człowiek; nie omieszkał się stawić – okazał się nieskończenie dobry i bezgranicznie wylany, jak bywają ludzie jedynie w krajach, gdzie próżność nie tłumi wszystkich uczuć. Zadenuncjowanie hrabiny Pietranera przed mężem było ciągłym wyrzutem jego życia – i oto znajdował sposób odkupienia.

– Teraz znów romansuje ze swoim bratankiem! – wykrzyknął, skoro hrabina wyszła od niego rano; nie był bowiem jeszcze wyleczony. – Ta dumna kobieta przyszła do mnie!... Po śmierci biednego Pietranera odepchnęła z oburzeniem moje usługi, mimo że bardzo dwornie przedłożone przez pułkownika Scotti, jej dawnego kochanka. Piękna Pietranera mająca tysiąc pięćset franków na życie! – dodał, przechadzając się żywo po pokoju. – Potem osiada w zamku Grianta z ohydny *seccatore*<sup>29</sup>, z margrabią del Dongo!... Wszystko się tłumaczy! W istocie, ten młody Fabrycy jest pełen wdzięku, rosty, zgrabny, zawsze uśmiechnięty, i co więcej, ze spojrzeniem brzemiennym jakąś słodką rozkoszą... fizjonomia z Correggia – dodał kanonik z goryczą.

– Różnica wieku... niezbyt duża... Fabrycy urodził się po wejściu Francuzów, około 98 roku, o ile mi się zdaje; hrabina może mieć lat dwadzieścia siedem czy osiem; niepodobna wyobrazić sobie czegoś bardziej uroczego. W tym kraju, tak bogatym w piękności, ona bije wszystkie: Marini, Gherardi, Ruga, Aresi, Pietragrua – wszystkie gasną przy niej. Żyli szczęśliwie w ukryciu nad tym pięknym jeziorem Como, kiedy młodemu wpadło do głowy lecieć do Napoleona... Są jeszcze dusze we Włoszech! Droga ojczyzna! Nie – ciągnęło dalej to serce rozpłomienione zazdrością – niepodobna sobie inaczej wytłumaczyć tej rezygnacji, tej wegetacji na wsi, z przykrością oglądania co dzień, przy każdym posiłku, ohydnej twarzy margrabię del Dongo wraz z tą bezecną wyblakłą facjatą marchesino Ascanio, który będzie jeszcze gorszy od ojca!... Dobrze więc; będę jej służył szczerze. Przynajmniej będę miał przyjemność widywania jej inaczej niż przez szkło lornetki.

Kanonik Borda przedstawił paniom całą sprawę bardzo jasno. W gruncie rzeczy Binder usposobiony jest jak najlepiej; bardzo jest rad, że Fabrycy się ulotnił, zanim z Wiednia zdążyły przyjść rozkazy; baron bowiem nie mógł rozstrzygać o niczym; w tej jak i w innych sprawach czeka rozkazów i posyła co dzień do Wiednia dokładną kopię wszystkich informacji; po czym czeka. Trzeba, aby na swym wygnaniu w Romagnano Fabrycy:

*Primo:* Nie zaniedbał co dzień być na mszy, wziął sobie za spowiednika sprytnego człowieka oddanego monarchii i wyznał mu przy konfesjonale, że uczucia jego są nienaganne.

*Secundo:* Nie powinien się zadawać z żadnym człowiekiem uchodzącym za otwartą głowę; przy sposobności powinien mówić ze zgrozą o wszelkim buncie jako o rzeczy w żadnym razie niedozwolonej.

*Tertio:* Nie powinien zachodzić do kawiarni; nie powinien czytać dzienników prócz urzędowej gazety turyńskiej i mediolańskiej; w ogóle okazywać wstręt do książek, nie czytać zwłaszcza żadnego dzieła drukowanego po roku 1720, wyjąwszy co najwyżej romansów Waltera Scotta.

*Quarto:* Wreszcie – dodał kanonik z odrobiną złośliwości – trzeba zwłaszcza, aby się jawnie umizgał do jakiej pięknej pani w okolicy, oczywiście szlachcianki; to będzie znak, że nie jest ponurym i niezadowolonym z życia materiałem na spiskowca.

Przed spoczynkiem hrabina i margrabina napisały do Fabrycego długie listy, w których tłumaczyły mu z uroczym zakłopotaniem rady kanonika Borda.

Fabrycy nie miał żadnej ochoty spiskować; kochał Napoleona i – jako urodzony szlachcic – uważał, że mu się należy od życia więcej niż innym; mieszczanie wydawali mu się śmieszni. Nigdy nie otworzył książki od czasu kolegium, gdzie czytywał jedynie dzieła przyrządzone przez jezuitów. Osiadł w pewnej odległości od Romagnano, we wspaniałym pałacu, jednym z arcydzieł sławnego architekta Sanmicheli, ale od trzydziestu lat nikt tam nie mieszkał, tak że deszcz padał do wszystkich

---

<sup>29</sup> *seccatore* (wł.) – człowiek natarczywy, nachalny. [przypis redakcyjny]

pokojów i ani jedno okno się nie zamykało. Zagarnął konie plenipotenty i ujeżdżał na nich bez ceremonii cały dzień; nie odzywał się do nikogo – dumał. Rada znalezienia sobie kochanki w jakiejś dobrze myślącej rodzinie spodobała mu się; wykonał ją dosłownie. Wybrał sobie na spowiednika młodego intryganta, który chciał zostać biskupem (jak spowiednik ze Szpilbergu)<sup>30</sup>; ale robił trzy mile pieszo, spowijając się tajemnicą, jak mniemał, nieprzeniknioną, aby czytać „Constitutionner”<sup>31</sup>, który wydał mu się wzniosły: „To jest tak piękne jak Alfieri i Dante!” – wykrzykiwał często. Fabrycy miał tę wspólność z młodzieżą francuską, iż o wiele poważniej zajmował się swoim wierzchowcem i swoim dziennikiem niż swoją dobrze myślącą kochanką. Ale w tej szczerzej i tęgiej duszy nie było jeszcze miejsca na *naśladowanie drugich*, toteż nie zyskał sobie przyjaciół w miejscowym towarzystwie. Prostotę jego wzięto za dumę; nie umiano określić jego charakteru. „To młodszy syn, markotny, że nie jest starszym” – powiedział proboszcz.

---

<sup>30</sup> Wybrał sobie na spowiednika młodego intryganta, który chciał zostać biskupem (jak spowiednik ze Szpilbergu) – por. ciekawe Pamiętniki pana Andryane’a, zajmujące jak opowieść, a które pozostaną jak Tacyt. [przypis autorski]

<sup>31</sup> „Constitutionner” – francuski dziennik liberalno-burżuazyjny ukazujący się od 1815 r. [przypis redakcyjny]

## Rozdział szósty

Wyznamy szczerze, że zazdrość kanonika Borda nie była bez podstaw. Skoro Fabrycy wrócił z Francji, ukazał się oczom hrabiny Pietranera niby piękny cudzoziemiec, którego dobrze znała niegdyś. Gdyby się jej oświadczył, pokochałaby go; czyż nie żywiła już dla jego postępów i osoby namiętnego, można rzec bezgranicznego uwielbienia? Ale Fabrycy całował ją z takim wylewem niewinnej wdzięczności i serdecznej przyjaźni, że brzydziłaby się sobą, gdyby szukała innego uczucia w tym niemal synowskim przywiązaniu. „Ba – mówiła sobie hrabina – paru przyjaciół, którzy mnie znali przed sześciu laty na dworze księcia Eugeniusza, może mnie jeszcze uważać za ładną, nawet młodą, ale dla niego jestem kobietą czcigodną... i jeżeli mam rzec bez ogródek, nie oszczędzając mojej miłości własnej, kobietą starszą.” Hrabina łudziła się co do okresu, w który weszła, ale łudziła się nie na sposób pospolitych kobiet. „W jego wieku zresztą – dodawała – przesadza się nieco uszczerbki czasu; jedynie człowiek bardziej doświadczony...”

Tak dumając przechadzała się po salonie; zatrzymała się przed lustrem i uśmiechnęła się. Trzeba wiedzieć, że od kilku miesięcy serce pani Pietranera było poważnie atakowane, i to przez niezwykłą osobistość. Niedługo po wyjeździe Fabrycego do Francji hrabina, która – jasno sobie tego nie uświadamiając – zaczynała się nim mocno zajmować, popadła w głęboką melancholię. Wszystkie zajęcia wydawały się jej nudne i, jeśli można tak rzec, bez smaku; powiadała sobie, że Napoleon, chcąc pozyskać sobie Włochów, zrobił Fabrycego swoim adiutantem. „Stracony jest dla mnie! – wykrzyknęła płacząc – nie ujrzę go już! Będzie pisywał do mnie, ale czymże ja będę dla niego za dziesięć lat?”

W tym stanie ducha hrabina wybrała się do Mediolanu; spodziewała się zdobyć bliższe wiadomości o Napoleonie i – kto wie – pośrednio może nowiny o Fabrycym. Nie przyznając się do tego przed sobą, ta gorąca dusza zaczynała się czuć bardzo zmęczona jednostajnym życiem na wsi. „To obrona przed śmiercią – mówiła sobie – to nie życie. Co dzień oglądać te pudrowane gęby brata, bratanka, ich lokajów! Czym są przejażdżki po jeziorze bez Fabrycego?” Jedyłą pociechę czerpała z przyjaźni margrabiny, ale od jakiegoś czasu ta zażyłość z matką Fabrycego, starszą od niej i odległą od życia, zaczynała mieć dla niej mniej uroku.

W takim szczególnym położeniu znajdowała się hrabina Pietranera; z odjazdem Fabrycego niewiele spodziewała się od przyszłości; serce jej potrzebowało pociechy i rozrywki. Przybywszy do Mediolanu zapaliła się po modnej opery, zamykała się sama na długie godziny w „La Scala”, w łoży generała Scotti, swego dawnego przyjaciela. Ludzie, których starała się widywać, aby się dowiedzieć czegoś o Napoleonie i jego armii, wydawali się jej pospolici i gminni. Wróciwszy do domu improwizowała na klawikordzie do rana. Jednego wieczora w „La Scala”, w łoży jednej z przyjaciółek, dokąd udała się po nowiny z Francji, przedstawiono jej hrabiego Mosca, ministra Parmy; był to sympatyczny człowiek, który mówił o Francji i o Napoleonie w sposób zdolny obudzić w jej sercu nowe przyczyny nadziei lub lęku. Znów zaszła do łoży nazajutrz; zajmujący ten człowiek zjawił się również; całą operę przegadala z nim z przyjemnością. Od wyjazdu Fabrycego nie spędziła tak miłego wieczoru. Człowiek ten, który ją umiał rozerwać, hrabia Mosca della Rovere Sorezana, był wówczas ministrem wojny, polityki i finansów słynnego księcia Parmy, Ernesta IV, tak głośnego swą surowością, którą liberałowie mediolańscy nazywali okrucieństwem. Mosca mógł mieć do czterdziestu pięciu lat; miał wydatne rysy, ani śladu nadętości, proste i wesołe obejście, które jednało mu sympatię; byłby jeszcze bardzo przystojny, gdyby dziwactwo księcia nie zmuszało go do pudrowania włosów – rękojmia chwalebnych zasad politycznych. Nie obawiając się zbytnio urazić próżności, ludzie we Włoszech łatwo dochodzą do zażyłego tonu i do rozmowy o rzeczach osobistych. Poprawką tego zwyczaju jest to, że o ile się drasnęli, przestają się widywać.

– Czemu, hrabio, pudrujesz włosy – spytała hrabina za trzecim widzeniem. – Puder! Człowiek taki jak pan, jeszcze młody, który z nami wojował w Hiszpanii!

– To dlatego, że nic nie ukradłem w owej Hiszpanii, a trzeba żyć. Byłem oszalały sławą; pochlebne słówko generała Gouvion-Saint-Cyr, który nami dowodził i był wówczas dla mnie wszystkim. Z upadkiem Napoleona okazało się, iż podczas gdy zjadałem swój majątek w służbie, ojciec mój, człowiek o żywej wyobraźni, który widział mnie już generałem, budował mi pałac w Parmie. W 1813 roku znalazłem się, za cały majątek, z wielkim, nie dokończonym pałacem i z pensją.

– Trzy tysiące pięćset franków, jak mój mąż?

– Ba! Hrabia Pietranera był generałem dywizji. Moja pensyjka skromnego majora wynosiła ledwie osiemset franków, a i to płacą mi ją dopiero od czasu, jak jestem ministrem finansów.

Ponieważ w loży znajdowała się tylko jej właścicielka, dama przekonana wielce liberalnych, rozmowa toczyła się dalej równie szczerze; Mosca, zagadnięty, opowiadał o swoim życiu w Parmie.

– W Hiszpanii pod generałem Saint-Cyr narażałem się na kule, aby zdobyć krzyż i nieco sławy; obecnie ubieram się jak pajac z komedii, aby prowadzić wielki dom i mieć kilka tysięcy franków. Raz wciągnąwszy się w tę partię szachów, dotknięty niegrzecznością przełożonych, postanowiłem zająć pierwsze miejsce; osiągnąłem to. Ale najszcześniejsze moje dni to te, które od czasu do czasu mogę spędzić w Mediolanie; tu żyje jeszcze serce waszej włoskiej armii.

Szczerść, *disinvoltura*, z jaką mówił minister groźnego księcia, obudziły ciekawość hrabiny. Sądząc z jego tytułu spodziewała się nadętego pedanta, a widziała człowieka, który się wstydził powagi swego stanowiska. Mosca przyrzekł jej dostarczać nowin z Francji – była to wielka nieopatrność w Mediolanie, na miesiąc przed Waterloo. Chodziło wówczas dla Włoch o ich *być albo nie być*; cały Mediolan przebywał gorączką nadziei lub obawy. Wśród tego poruszenia hrabina zaczęła się wypytywać o człowieka, który tak lekko mówił o stanowisku budzącym tyle zazdrości i będącym jedynym jego środkiem do życia.

Ciekawe i uderzające swą oryginalnością rzeczy opowiedziano hrabinie Pietranera. Hrabia Mosca della Rovere Sorezana bliski jest zostania pierwszym ministrem i faworytem Ranucego Ernesta IV, samowładnego księcia Parmy, i co więcej, jednego z najbogatszych władców w Europie. Hrabia byłby już doszedł do tego naczelnego stanowiska, gdyby miał więcej powagi; podobno książę dawał mu nieraz nauki w tej mierze.

– Co Waszej Dostojności szkodzi moje zachowanie – odpowiedział swobodnie – byłem dobrze załatwił sprawy.

„Szczęście tego faworyta – dodawano – nie jest bez cierni. Trzeba wciąż dbać o łaskę monarchy, człowieka niewątpliwie rozumnego i bystrego, ale który, od czasu jak zajął samowładny tron, stracił po prostu głowę i okazuje podejrliwość iście kobiecą.”

Ernest IV jest odważny tylko na wojnie. Na polu bitwy widziano go wiele razy, jak prowadził kolumnę do ataku, dowodząc nią jak dzielny generał; ile po śmierci ojca swego, Ernesta III, wróciwszy do swego państwa, gdzie na nieszczęście posiada nieograniczoną władzę, zaczął gwałtownie deklanować przeciw liberałom i wolności. Niebawem wyobraził sobie, że go nienawidzą; wreszcie w chwili złego humoru kazał powiesić dwóch liberałów, może nie bardzo winnych, popchnięty do tego przez łajdaka nazwiskiem Rassi – coś na kształt ministra sprawiedliwości.

Od tej nieszczęsnej chwili życie księcia zmieniło się; dręczą go najdziksze podejrzenia. Nie ma pięćdziesięciu lat, a strach go tak skurczył, jeżeli można się tak wyrazić, iż z chwilą gdy mówi o jakobinach i o projektach komitetu paryskiego<sup>32</sup>, przybiera fizjonomię osiemdziesięcioletniego starca; popada w lęki nieletniego dziecka. Faworyt jego, Rassi, naczelny skarbnik (lub wielki sędzia), posiada wpływ jedynie dzięki strachowi swego pana; z chwilą gdy się obawia o swój wpływ, czym prędzej odkrywa nowe sprzysiężenie, możliwie czarne i fantastyczne. Niech się zbierze trzydzieści gorących głów, aby przeczytać numer „*Constitutionnel*”, Rassi ogłasza ich za spiskowców i osadza w sławnej cytadeli parmeńskiej, postrachu Lombardii. Ponieważ jest bardzo wysoka – sto osiemdziesiąt

---

<sup>32</sup> o projektach komitetu paryskiego – mowa o Komitecie Ocalenia Publicznego, powstałym z inicjatywy Konwencji 1793 r. do walki z kontrrewolucją, kierowanym przez jakobinów. [przypis redakcyjny]

stóp, jak mówią widać ją z bardzo daleka na tej olbrzymiej równinie; urządzenie zaś tej kaźni, o której powiadają straszne rzeczy, czyni ją, siłą postrachu, królową całej tej równiny od Mediolanu do Bolonii.

– Czy uwierzyłaby pani – powiadał hrabinie inny podróżny – w nocy na trzecim piętrze swego pałacu, strzeżony przez osiemdziesięciu gwardzistów, którzy co kwadrans wykrzykują hasło, Ernest IV drży w swoim pokoju. Drzwi zamknięte są na dziesięć ryglów, sale nad nim i pod nim pełne są żołnierzy, a on boi się jakobinów. Jeżeli deska w posadzce zaskrzypi, rzuca się do pistoletów, myśląc, że to liberał ukryty pod łóżkiem. Natychmiast rozlegają się dzwonki w całym zamku, a adiutant biegnie zbudzić hrabiego Mosca. Przybywszy do zamku, minister ten nie zdradza najlżejszej wątpliwości co do spisku, przeciwnie: uzbrojony od stóp do głów, sam bada z księciem każdy zakątek, zagląda pod łóżka z drobiazgowością godną starej baby. Wszystkie te ostrożności wydałyby się upokarzające samemu księciu w owym szczęśliwym czasie, kiedy bywał na wojnie i kiedy nie uśmiercił jeszcze nikogo inaczej niż z fuzji. Ponieważ to jest człowiek wcale niegłupi, wstydzi się tych ostrożności, widzi ich śmieszność w tej samej chwili, w której je praktykuje; otóż źródłem wpływu hrabiego Mosca jest właśnie to, iż dokłada wszelkich starań, aby księżę nie potrzebował się nigdy rumienić w jego obecności. To on, Mosca, w charakterze ministra policji nalega, aby zaglądać pod sprzęty, zgoła – powiadają w Parmie – do futerałów od basetli. Księżę sprzeciwia się temu, żartuje z gorliwości ministra.

– To rzecz mojej ambicji – odpowiada hrabia – niech Wasza Dostojności pomyśli, iloma satyrycznymi sonetami zasypaliby nas jakobini, gdybyśmy pozwolili zamordować Waszą Dostojność. Bronimy jej życia, ale i naszego honoru!

Ale zdaje się, iż księżę tylko w połowie wierzy temu wszystkiemu, skoro bowiem ktoś w mieście ośmielił się powiedzieć, że w zamku spędzono bezsenną noc, wielki skarbnik Rassi wysłał żartownisia do cytadeli, a gdy kto raz znajdzie się w tym wyniosłym i *dobrze wietrzonym* mieszkaniu, trzeba cudu, aby sobie przypomniano o więźniu. Mosca jest eks-wojskowy, w Hiszpanii ocalał się ze dwadzieścia razy z pistoletem w dłoni z zasadzki – dlatego księżę woli go od Rassi, mimo że Rassi jest giętszy i uniżeńszy. Owi nieszczęśliwi jeńcy znajdują się w najściślejszym odosobnieniu, obiegają o nich dziwne powieści. Liberałowie twierdzą, iż na rozkaz Rassi dozorcy i spowiednicy utrzymują ich w przekonaniu, że co miesiąc jeden idzie na stracenie. Tego dnia jeńcom wolno wychodzić na terasę olbrzymiej wieży, na sto osiemdziesiąt stóp wysokiej, i stamtąd widzą przeciągający orszak z agentem policji grającym rolę nieboraka prowadzonego na śmierć.

Te opowieści i dwadzieścia innych, nie mniej autentycznych, zaciekały panią Pietranera. Nazajutrz jęła się wypytywać hrabiego Mosca o szczegóły, przekomarzając się z nim. Znajdowała rozrywkę w jego towarzystwie, dowodziła mu, że w gruncie jest on, sam o tym nie wiedząc, potworem. Jednego dnia, wracając do swej gospody, hrabia rzekł sobie: „Nie tylko ta hrabina Pietranera jest uroczą kobietą, ale kiedy spędzam wieczór w jej łożu, zapominam o niektórych rzeczach w Parmie, których wspomnienie przeszywa mi serce. („Minister ten, mimo lekkich i błyszczących pozorów, nie miał duszy przykrojonej z *francuska*; nie umiał *zapominać* zgryzot. Kiedy w węzłowie jego tkwił cierń, umiał tak długo kłuć się o niego drgającymi członkami, aż go złamał i stał.” Przepraszam za to zdanie przetłumaczone z włoskiego.) Nazajutrz po tym odkryciu hrabia zauważył, iż mimo spraw zatrzymujących go w Mediolanie dzień wlecze się niemiłosiernie; nie mógł wytrzymać w miejscu, zamęczył konie. Koło szóstej wsiadł na konia, aby pojechać na Corso; miał nadzieję spotkać tam hrabinę; nie widząc jej, przypomniał sobie, że koło ósmej otwierają „La Scala”; wszedł i ujrzał zaledwie dziesiątek osób w olbrzymiej sali. Zawstydził się nieco swojej obecności. „Czy podobna – rzekł – abym ja, mając skończonych czterdzieści pięć lat, robił szaleństwa, których wstydziłby się podporucznik? Szczęściem nikt się ich nie domyśla. Uciekł i próbował zabić czas, wążając się po pięknych uliczkach dokoła teatru. Jest tam mnóstwo kawiarni, które o tej porze roją się od ludzi: przed każdą kawiarnią tłum gapiów, siedząc na krzesłach wprost na ulicy, je lody i krytykuje przechodniów. Hrabia nie należał do tych, którzy przechodzą niepostrzeżeni; nie minęła go

ta przyjemność, że go poznano i nagabnięto. Kilku natrętów, z tych, którym nie można się opędzić, schwyciło tę sposobność, aby zdobyć audiencję u potężnego ministra. Dwaj wręczyli mu podania, trzeci poprzestał na udzieleniu mu rozwlekłych rad z zakresu polityki.

„Nie można spać – powiedział sobie – kiedy się jest zbyt inteligentnym; nie można się przechadzać, kiedy się jest zbyt wpływowym.” Wrócił do teatru i wpadł na tę myśl, aby wziąć łożę na trzecim piętrze; stamtąd spojrzenia jego, nie pochwycone przez nikogo, mogły się nurzać w łożach drugiego piętra, gdzie spodziewał się hrabiny. Pełne dwie godziny oczekiwania nie dłużyły się zakochanemu; pewien, że go nikt nie widzi, poddawał się z rozkoszą swemu szaleństwu. „Czyż starość – powiadał sobie – to przede wszystkim nie to, że się nie jest już zdolnym do tych rozkosznych dzieciństw?”

Wreszcie hrabina pojawiła się. Uzbrojony w lornetkę badał ją w upojeniu. „Młoda, świetna, lekka jak ptaszek – powiadał sobie – nie ma ani dwudziestu pięciu lat. Piękność jest jeszcze najmniejszym jej powabem: gdzie znaleźć tę duszę zawsze szczerą, która nigdy nie umie *być ostrożna*, która poddaje się cała chwili, która pragnie jedynie dać się porwać nowemu wrażeniu? Pojmuję szaleństwa hrabiego Nani.”

Hrabia wynajdywał sobie doskonałe racje, aby szaleć, póki myślał jedynie o zdobyciu szczęścia, które widział przed oczyma. Racje te straciły nieco na sile, kiedy zastanowił się nad swym wiekiem i nad troskami niekiedy bardzo smutnymi, które wypełniały jego dni. „Inteligentny człowiek, któremu strach odbiera rozum, zapewnia mi wystawne życie i wiele pieniędzy, abym był jego ministrem; ale niech mnie jutro odprawi, a zostanę stary i biedny, rzecz najohydniejsza w świecie; jest też co ofiarowywać hrabinie!” Porzucił te czarne myśli, aby wrócić do hrabiny Pietranera; nie mógł się nasycić jej widokiem; aby lepiej o niej myśleć, nie szedł do jej łoży. „Wzięła Naniego, powiadano mi właśnie, jedynie, aby zrobić na złość cymbałowi Limercati, który nie umiał się zdobyć na to, aby pchnąć szpadą lub kazać zgnać sztyletem mordercę jej męża. Ja bym się bił dwadzieścia razy dla niej!” – zawołał z uniesieniem. Co chwila spoglądał na zegar, który odcinał się na czarnym tle lśniącymi cyframi, co pięć minut powiadamiając widzów o godzinie, w której wolno im się udać do przyjacielskiej łoży. Hrabia powiadał sobie: „Jako świeży znajomy, mogę zabawić w jej łoży najwyżej pół godziny; gdybym został dłużej, zwróciłbym na siebie uwagę, w moim wieku, a zwłaszcza z tymi pudrowanymi włosami, miałbym minę Kasandra<sup>33</sup>.” Jedna refleksja zdecydowała go nagle: „Gdyby hrabina wyszła z łoży, udając się gdzieś z wizytą, ładnie bym wyszedł na sknerstwie, z jakim dawkuje sobie tę przyjemność.” Już wstawał, aby się udać do łoży hrabiny, naraz odeszła mu ochota. „Ha! to doprawdy śliczne! – wykrzyknął, śmiejąc się z siebie i przystając na schodach. – Toż to odruch szczerzej nieśmiałości! Będzie już ze dwadzieścia pięć lat, jak mi się nie zdarzyło coś podobnego.

Wszedł do łoży niemal przemagając się: jako człowiek wytrawny skorzystał z przypadku, który mu się zdarzył, nie silił się na swobodę i dowcip ani też nie starał się ratować jakim zabawnym opowiadaniem; miał odwagę być nieśmiały, wykorzystał swój spryt, aby odsłonić rąbek wzruszenia, unikając wszelako śmieszności. „Jeżeli jej się to nie spodoba – powiadał sobie – przepadłem na zawsze! Co! nieśmiały, z włosami przysypanymi pudrem, a które bez pudru wydałyby się siwe! Ostatecznie to jednak prawda; nie może tedy być śmieszna, chyba że przesadzę lub będę z niej czerpał chlubę. Hrabina tak często nudziła się w Grianta w obliczu upudrowanych głów swego brata, bratanka i kilku *dobrze myślących* nudziarzy z sąsiedztwa, że nie wpadło jej do głowy zaprzątać się fryzurą nowego wielbiciela.

Nastrój hrabiny obronił ją przed wybuchem śmiechu, toteż uwagę swą skupiła jedynie na wiadomościach z Francji, których udzielał jej zawsze na osobności, skoro tylko zjawił się w łoży; z pewnością wymyślał je. Omawiając z nim te wiadomości, hrabina zauważyła tego wieczora jego spojrzenie było sympatyczne i życzliwe.

---

<sup>33</sup> *Kasander* – w komedii włoskiej typ naiwnego, odrażającego starca. [przypis redakcyjny]

– Wyobrażam sobie – rzekła – że w Parmie, wśród swoich niewolników, nie ma pan tego miłego spojrzenia; to by zepsuło wszystko i dałoby im cień nadziei, że nie będą wisieć.

Zupełny brak namaszczenia u człowieka, który uchodził za pierwszego dyplomatę Włoch, zdziwił hrabinę; znajdowała nawet, że to ma swój urok. Wreszcie, ponieważ zwykle mówił łatwo i z ogniem, nie zraniło jej to, iż uznał za właściwe przyjąć na jeden wieczór rolę słuchacza.

Był to ważny krok i bardzo niebezpieczny; szczęściem dla ministra, który w Parmie nie spotykał się z oporem, hrabina przybyła z Grianta dopiero od niedawna; umysł jej był jeszcze odrętwiały wiejską nudą. Zdawało się, iż odwykła od żartu; wszystko, co przypominało lekkie i wykwintne życie, miało w jej oczach odcień nowości, co wykluczało kpiny; nie powstało jej w głowie z niczego drwić, nawet z czterdziestopięcioletniego a nieśmiałego zalotnika. W tydzień później nieopatrzność hrabiego mogłaby się spotkać zgoła z innym przyjęciem. W „La Scala” jest obyczaj nie przeciągać ponad dwadzieścia minut wizyt w łóżach; otóż hrabia spędził cały wieczór w łoży, w której miał szczęście spotkać panią Pietranera. „Ta kobieta – powiadał sobie – wraca mi wszystkie szaty młodości!” Ale czuł niebezpieczeństwo. „Czy stanowisko paszy, wszechpotężnego o czterdzieści mil stąd, okupi moje niezdarstwo? Tak się nudzę w Parmie!” Mimo to z kwadransa na kwadrans postanawiał sobie iść.

– Trzeba przyznać, pani – rzekł, śmiejąc się do hrabiny – że w Parmie umieram z nudów; nie dziw, że przyjemność, o ile spotkam ją na drodze, upija mnie. Toteż bez konsekwencji i na jeden wieczór, niech mi pani pozwoli grać rolę zakochanego. Niestety! za parę dni będę daleko od tej łoży, która daje mi zapomnieć o wszystkich zgryzotach, a nawet, powie pani, o wszystkich konwenansach.

W tydzień po tej olbrzymiej wizycie i w następstwie drobnych wypadków, które zbyt długo byłoby może opowiadać, Mosca był zakochany do szaleństwa, a hrabina myślała już sobie, że wiek nie powinien być przeszkodą, o ile poza tym ktoś się podoba. Tak stały rzeczy, kiedy kurier odwołał hrabiego Mosca do Parmy. Można by rzec, że jego władca bał się być sam. Hrabina wróciła do Grianta; wyobrażnia jej nie stroiła już tej pięknej miejscowości: wydała się jej pustynią. „Czyżbym się przywiązała do tego człowieka?” – mówiła sobie. Mosca pisywał do niej – nie potrzebował nic udawać, rozłąka odjęła mu źródło wszystkich jego myśli; listy jego były bardzo miłe. Wpadł na dobry pomysł: aby uniknąć komentarzy margrabiego del Dongo, który nie lubił opłacać porta, wysyłał kurierów, którzy wrzucali jego korespondencję w Como, w Lecco, Varese lub miasteczku u nad jeziorom. Zmierzało to do tego, aby przez kuriera dostawać odpowiedzi; osiągnął ten cel.

Niebawem dni kurierskie stały się wydarzeniem w życiu hrabiny. kurierzy przynosili kwiaty, owoce, drobne podarki, które ją bawiły równie jak jej bratową. Wspomnienie hrabiego kojarzyło się z myślą o jego wielkiej władzy; hrabina słuchała z uwagą wszystkiego, co mówiono o nim: nawet liberałowie oddawali hołd jego talentom.

Głównym źródłem złej opinii hrabiego było to, że uchodził za głowę *reakcji* na dworze parmeńskim, na czele zaś liberałów stała intrygantka zdolna do wszystkiego, nawet do zwycięstwa, margrabina Raversi, osoba niezmiernie bogata. Książę dawał pilne baczenie, aby nie zniechęcić stronnictwa, które nie było przy władzy, wiedząc dobrze, że zawsze będzie panem, nawet przy ministerium z salonu Raversi. Opowiadano w Grianta tysiączne szczegóły o tych intrygach; nieobecność hrabiego, którego wszyscy przedstawiali jako ministra zdolnego i energicznego, pozwalała zapomnieć o pudrowanych włosach, symbolu wszystkiego, co gnuśne i smutne; był to szczegół bez znaczenia, jeden z obowiązków urzędu, na którym poza tym grał tak piękną rolę. „Dwór jest śmieszny – mówiła hrabina do bratowej – ale zajmujący, to zabawna gra, na której reguła trzeba się zgodzić. Czy komu kiedy przyszło do głowy biadać na niedorzeczność reguł pikiety? A przecież skoro się raz do nich włożyć, miło jest dać przeciwnikowi i pik-repik i kapotę.”

Hrabina często myślała o autorze sympatycznych listów; dzień, w którym je otrzymywała, był dla niej miłym dniem; brała łódkę i jechała je odczytywać w najpiękniejszych okolicach: w Pliniana, w Belano, w lasku Sfondrata. Listy te wynagradzały jej poniekąd brak Fabrycego. Nie mogła przynajmniej odmówić hrabiemu, że jest bardzo zakochany; nie upłynął miesiąc, a myśli o nim zabarwiały się tkliwą przyjaźnią. Co do hrabiego Mosca, to był on niemal szczery, kiedy jej ofiarował

podać się do dymisji, rzucić ministerium i żyć z nią w Mediolanie lub gdzie indziej. „Mam czterysta tysięcy franków – dodawał – co nam zapewni piętnaście tysięcy funtów renty.” – „Znów łoża, konie! itd.” – powiadała sobie hrabina. Przyjemne marzenia. Uroczę perspektywy jeziora Como zaczęły ją nas nowo czarować. Chodziła nad jego brzeg, aby marzyć o powrocie do świetnego życia, które wbrew spodziewaniu stawało się dla niej możliwe. Widziała się na Corso, w Mediolanie, szczęśliwa i wesola jak za wicekróla. „Młodość, a przynajmniej życie znów zaczęłoby się dla mnie.”

Niekiedy gorąca wyobraźnia przesłaniała jej prawdę, ale nigdy nie było u niej miejsca na dobrowolne złudzenia, rodzące się z braku odwagi. Była to przede wszystkim kobieta szczerą: jeżeli jestem za stara nieco, aby popełniać szaleństwa, zawiść, która stwarza sobie złudzenia jak miłość, może mi zatruć pobyt w Mediolanie. Po śmierci męża moje szlachetne ubóstwo zyskało blask, zarówno jak odtrącenie dwóch wielkich fortun. Biedny Mosca nie ma ani dwudziestej części dostatków, które składały u moich stóp te dwie ciemięgi, Limercati i Nani. Skromna pensyjka wdowia uzyskana z trudem, odprawienie służby, co miało swój rozgłos, pokoik na piątym piętrze, który ściągał dwadzieścia karet do bramy, wszystko to tworzyło swego czasu niezwykle widowisko. Ale mimo największej zręczności będę miała przykre chwile, jeżeli posiadając za cały majątek jedynie swą pensijkę, wrócę do Mediolanu, aby korzystać ze skromnego mieszczańskiego dobrobytu, jaki mogą nam dać owe piętnaście tysięcy franków, które będzie miał Mosca po swej dymisji. Ważnym szkopułem, z którego zawiść ukuje sobie straszliwą broń, jest, że hrabia, mimo iż od dawna nie żyje z żoną, jest żonaty. Separacja ta znana jest w Parmie, ale w Mediolanie będzie ona czymś nowym, przypiszą ją mnie. Tak więc, mój piękny teatrze „La Scala”, boskie jezioro Como, żegnajcie! żegnajcie!”

Mimo tych uprzedzeń, gdyby pani Pietranera miała bodaj jaki majątek, byłaby przyjęła propozycję hrabiego. Uważała się za kobietę starszą i bała się dworu; ale – co się wyda z tej strony Alp najmniej prawdopodobne – hrabia byłby wniósł dymisję z radością. Umiał przynajmniej przekonać o tym swą ukochaną. W każdym liście błagał z rosnącą namiętnością o nowe widzenie się w Mediolanie; użyczyła mu go. „Przysięgam panu, że go szalenie kocham – rzekła hrabina – byłoby kłamstwem; to byłoby za wiele szczęścia, gdybym mogła kochać dziś, po trzydziestce, tak jak kochałam niegdyś, mając lat dwadzieścia dwa! Ale patrzałam na zgon tylu rzeczy, które mi się zdawały wieczne! Mam dla pana najtkliwszą przyjaźń, ufność bez granic; ze wszystkich w świecie jest mi pan najmilszy.” Hrabina sądziła, że jest zupełnie szczerą; mimo to ku końcowi oświadczenie to zawierało małe kłamstwo. Gdyby Fabrycy chciał, byłby może przeważał wszystko w jej sercu. Ale Fabrycy był dzieckiem w oczach hrabiego Mosca. Hrabia przybył do Mediolanu w trzy dni po wyjeździe młodego szaleńca do Nowary, i pośpieszył wstawić się za nim do barona Bindera. Hrabia sądził, że wygnanie to sprawa bez ratunku.

Nie przybył do Mediolanu sam; przywiózł w swojej karocy diuka Sanseverina-Taxis. Był to sympatyczny sześćdziesięcioośmioletni staruszek, szpakowaty, gładki, schludny, kolosalnie bogaty, ale nie dość szlachetnie urodzony. Zaledwie dziadek jego zebrał miliony na stanowisku generalnego dzierżawcy dochodów państwowych w Parmie. Ojciec diuka zdobył stanowisko ambasadora księcia Parmy w ... dzięki następującej argumentacji: „Wasza Dostojność daje trzydzieści tysięcy franków swemu posłowi w ..., który ją tam reprezentuje dość mizernie. Jeżeli Wasza Dostojność: raczy mi użyczyć tego miejsca, przyjmę sześć tysięcy franków pensji. Będę wydawał na dworze w ... nie mniej niż sto tysięcy franków rocznie, a mój intendent złoży co rok dwadzieścia tysięcy do kasy spraw zagranicznych w Parmie. Za tę sumę będzie można przydzielić mi takiego sekretarza ambasady, jakiego się zechce, a ja nie będę zazdrosny o sekrety dyplomatyczne, jeśli będą jakie. Moim celem jest dodać blasku swemu domowi, jeszcze nieco świeżemu, i uświetnić go wysoką godnością dworską.”

Obecny diuk, syn owego ambasadora, popełnił tę niezręczność, że się okazał prawie że liberałem; toteż od dwóch lat był w rozpacz. Za Napoleona stracił parę milionów przez upór, z jakim

zostawał za granicą; otóż od czasów przywrócenia porządku w Europie nie mógł uzyskać pewnej wstęgi, która zdobiła portret jego ojca; brak tego orderu przyprawiał go o chorobę.

W tej zażyłości, jaka towarzyszy miłości we Włoszech, względy próżności nie istniały między dwójgiem kochanków. Zupełnie tedy po prostu hrabia Mosca rzekł do kobiety, którą ubóstwiał:

– Mam parę planów do przedłożenia pani; wszystkie dosyć dobrze obmyślane; od trzech miesięcy dumam jedynie nad tym.

*Primo*: Wnoszę dymisję i żyjemy sobie po mieszczańsku w Mediolanie, Florencji, Neapolu, gdzie zechcesz. Mamy piętnaście tysięcy funtów renty, niezależnie od dobrodziejstw księcia, które mogą trwać dłużej lub krócej.

*Secundo*: Raczy pani przenieść się do kraju, gdzie mam jakąś władzę, kupi pani mająteczek, na przykład Sacca, uroczy pałacyk w lesie nad Padem, może pani podpisać kontrakt choćby na tydzień. Książę przywiąże panią do dworu. Ale tu nastęrcza się olbrzymia trudność. Przyjmą panią dobrze na dworze; nikt nie odważy się okiem mrugnąć w mojej obecności; przy tym księżna uważa się za nieszczęśliwą, a ja starałem się być jej pomocny z myślą o pani. Ale przypominam pani zasadniczą trudność; książę jest bigot, a jak pani wiadomo, nieszczęście chce, że ja jestem żonaty. Stąd milion drobnych przykrości. Jest pani wdową; ten piękny tytuł trzeba by zmienić na inny, i to stanowi właśnie przedmiot trzeciej propozycji.

Można by znaleźć nowego, wygodnego męża. Ale przede wszystkim musi być bardzo stary; czemuż miałaby mnie pani pozbawić nadziei zastąpienia go kiedyś? Otóż zawarłem osobliwy układ z diukiem Sanseverina-Taxis; rozumie się, że nie zna nazwiska przyszłej diuszesy. Wie tylko, że robi go ambasadorem i da mu ten order, który miał jego ojciec, a którego brak czyni go najnieszczęśliwszym ze śmiertelnych. Poza tym książę nie jest najgłupszy; sprowadza z Paryża ubrania i peruki. Nie jest to człowiek zdolny do rozmyślnej niegodziwości; wierzy święcie, że honor polega na tym, aby mieć order, a wstydzi się swego majątku. Przed rokiem przyszedł do mnie z propozycją założenia szpitala za ten order; wyśmiałem go; ale on się nie wyśmiał ze mnie, kiedy mu zaproponowałem małżeństwo; pierwszym moim warunkiem było, rozumie się, że nigdy noga jego nie postanie w Parmie.

– Ale czy pan wie, że to, co mi pan proponuje, jest bardzo niemoralne? – rzekła hrabina.

– Nie więcej niż wszystko, co się robi na naszym dworze i na dwudziestu innych. Absolutna władza ma tę wygodę, że uświęca wszystko w oczach ludów. Cóż znaczy śmieszność, której nikt nie dostrzega? Przez dwadzieścia lat naszą polityką będzie strach przed jakobinami, i to jaki! Co rok będziemy święcie przekonani, że jesteśmy w wilię nowego roku 93! Usłyszysz pani, mam nadzieję, frazesy, jakie wygłaszam na ten temat na swoich recepcjach! To wspaniałe! Wszystko, co zdoła zmniejszyć nieco ten strach, będzie *bezwzględnie moralne* w oczach szlachty i dewotów. Otóż w Parmie wszystko, co nie jest szlachtą i dewotami, siedzi w więzieniu lub wybiera się tam. Niech pani będzie przekonana, że to małżeństwo wyda się gorszące dopiero w dniu mojej niełaski. Układ ten nie oszukuje, nie krzywdzi nikogo, to główna rzecz, jak sądzę. Panujący, którego łaską frymarczymy, uczynił swoje przyzwolenie zależnym od jednego tylko warunku, to jest, aby przyszła diuszesa była szlachcianką. W zeszłym roku moja posada, razem wzięwszy, dała mi sto siedem tysięcy franków; ogólny mój dochód był coś około stu dwudziestu dwóch tysięcy; umieściłem dwadzieścia tysięcy w Lyonie. Zatem niech pani wybiera: *primo*, szeroka egzystencja oparta na stu dwudziestu tysiącach franków dochodu, co w Parmie wynosi najmniej tyle co czterysta tysięcy w Mediolanie, ale połączona z tym małżeństwem, dającym pani nazwisko znośnego człowieka, którego pani ujrzy tylko przy ołtarzu; *secundo*, skromne życie z piętnastu tysięcy franków we Florencji lub Neapolu; godzę się bowiem z pani zdaniem, że zanadto panią podziwiano w Mediolanie; zawiść ściagałaby nas i zdołałaby nam zatruć życie. Świetności Parmy będą miały, mam nadzieję, pewien urok nowości nawet w oczach pani, które widziały dwór księcia Eugeniusza; roztropnie byłoby poznać to życie, nim się je sobie zamknie. Niech pani nie sądzi, że ja chcę wpływać na jej decyzję. Co do mnie, wybrałem dawno: wolę raczej żyć na czwartym piętrze z panią niż wieść dalej samotnie tę wspaniałą egzystencję.

Możliwość tego osobliwego małżeństwa była co dzień tematem dyskusji między kochankami. Hrabina ujrzała na balu w „La Scala” diuka Sanseverina-Taxis, który wydał jej się wcale możliwy. W jednej z ostatnich rozmów Mosca ujął w ten sposób propozycję:

– Trzeba powziąć postanowienie, jeśli chcemy spędzić mile resztę życia i nie zestarzeć się przed czasem. Książę dał zezwolenie; Sanseverina jest figurą raczej przyzwoitą; posiada najpiękniejszy pałac w Parmie i niesłychany majątek; ma sześćdziesiąt osiem lat i szaloną żądzę orderu; ale plamą w jego życiu jest, iż kupił niegdyś za dziesięć tysięcy franków biust Napoleona dłuta Canovy. Drugi jego grzech, który go uśmierci, o ile pani nie przyjdzie mu z pomocą – to, iż pożyczył dwadzieścia pięć napoleonów Ferrantemu Palla, naszemu ziomkowi! Jest to po trosze wariat, po trosze geniusz, którego później skazaliśmy na śmierć, na szczęście zaocznie. Ów Ferrante napisał w życiu jakieś dwieście wierszy, które nie mają nic równego; powiem je pani, to tak piękne jak Dante. Książę wysłał Sanseverina do ..., on panią zaślubi w dzień wyjazdu, a w drugim roku swej podróży, którą nazwie *ambasadą*, otrzyma ową wstęgę, bez której nie może żyć. Będzie w nim pani miała brata, który nie będzie się naprzykrzał; podpisuje z góry wszystko, czego zażadam, poza tym będzie go pani widywała rzadko lub nigdy, jak zechcesz. Z przyjemnością gotów jest nie pokazywać się w Parmie, gdzie musi wstydić się dziadka dorobkiewicza i swego rzekomego liberalizmu. Rassi, nasz kat, twierdzi, że Sanseverina abonował w sekrecie „Constitutionnel” za pośrednictwem poety Ferranta Palla i ta potwarz długo stanowiła przeszkodę do zgody panującego księcia.

Czemu historyk, który powtarza wiernie szczegóły zasłyszanego opowiadania, miałby być winny? Czy to jego wina, jeśli osoby porwane namiętnościami, których – nieszczęściem dlań – nie podziela, popadają w uczynki głęboko niemoralne? Prawda, iż tego rodzaju rzeczy nie zdarzają się już w kraju, gdzie ze wszystkich namiętności przetrwała tylko jedna, mianowicie pieniądz, narzędzie próżności.

W trzy miesiące po tych wydarzeniach diuszesa Sanseverina-Taxis olśniewała dwór parmeński uroczym wdziękiem i szlachetną pogodą; dom jej był najmiłszy w mieście; a to właśnie hrabia Mosca przyrzekł swemu panu. Ranucjusz Ernest IV oraz księżna, jego małżonka, którym przedstawiły diuszese dwie najznamienitsze damy w kraju, przyjęli ją bardzo łaskawie. Diuszesa ciekawa była ujrzeć owego władcę, pana losów człowieka, którego kochała; chciała go olśnić i udało się to jej aż nadto. Ujrzała człowieka słusznego wzrostu, ale nieco ciężkiego; włosy, wąsy, olbrzymie bokobrody były – wedle dworaków – pięknego koloru blond; komu innemu przywiodłyby na myśl konopie. Od dużej twarzy odbijały mały, niemal kobiecy nos. Jednakże, aby spostrzec wszystkie szczegóły, trzeba było rozbierać kolejno rysy księcia; w całości budził wrażenie inteligencji i siły. Wzięcie, postawa księcia nie miały wrodzonego majestatu, ale często chciał imponować osobie, z którą rozmawiał; wówczas stawał się sam zakłopotany i kołysał się z nogi na nogę. Poza tym Ernest IV miał spojrzenie przenikliwe i władcze; gesty jego miały coś szlachetnego, a słowa były odmierzone i zwięzłe.

Mosca uprzedził księżnę, że w gabinecie, gdzie daje audiencję, książę ma duży portret Ludwika XIV i ładny inkrustowany stół florencki. Zauważyła, iż podobieństwo jest uderzające: najoczywiściej silił się na spojrzenie i na szlachetny akcent Ludwika XIV, a opierał się na stoliku w sposób przypominający Józefa II. Po pierwszych słowach zwróconych do księżnej usiadł, aby jej dać sposobność posłużenia się taboretom należnym jej godności. Na tym dworze diuszesy, księżne i żony grandów hiszpańskich siadały same; inne czekały, aż panujący je zachęci; aby zaś zaznaczyć różnicę, monarcha oczekiwał zawsze chwilkę, nim zaprosił damę, nie mającą rangi diuszesy, aby siadła. Pani Sanseverina zauważyła, że chwilami kopia Ludwika XIV była zbyt wyraźna; na przykład uśmiech dobroci z odchyleniem głowy wstecz.

Ernest IV miał na sobie frak ostatniej mody, prosto z Paryża – z tego miasta, którego nienawdził, przysyłano mu co miesiąc frak, surdut i kapelusz. Ale przez jakąś dziwną kombinację w dniu, w którym przedstawiono mu diuszese, włożył czerwone spodnie, jedwabne pończochy oraz trzewiki, których model można oglądać na portretach Józefa II.

Książę przyjął panią Sanseverina z wdziękiem, rozwinął wiele dowcipu i uprzejmości; mimo to zauważyła pewien brak ciepła.

– Wie pani czemu? – rzekł Mosca, kiedy wróciła z audiencji. – To dlatego, że Mediolan jest większy i ładniejszy od Parmy. Gdyby panią przyjął tak, jak się spodziewałem i jak pozwolił mi mieć nadzieję, bałby się, że będzie wyglądał na parafianina oczarowanego piękną panią ze stolicy. Bez wątpienia drażni go jeszcze jeden szczegół, który zaledwie śmiem pani wyznać: książę nie ma na dworze ani jednej kobiety, która by się mogła mierzyć z panią co do urody. To był wczoraj wieczór jedyny przedmiot jego rozmowy z Pernice, pierwszym kamerdynerem, który ma dla mnie względy. Przewiduję małą rewolucję w etykietce; moim największym wrogiem na tym dworze jest głupiec, który zwie się generał Fabio Conti. Niech pani sobie wyobrazi pajaca, który był na wojnie może przez jeden dzień w życiu, a który na tej podstawie przybiera tony Fryderyka Wielkiego. Co więcej, stara się również naśladować szlachetny sposób bycia generała Lafayette, a to dlatego, że jest tutaj głową liberałów. (Boże, co za liberałów!)

– Znam Fabia Conti – rzekła księżna – spotkałam go w pobliżu Como; szamotał się z żandarmami.

Opowiedziała przygodę, którą czytelnik przypomina sobie może.

– Dowie się pani kiedyś, jeśli umysł twój zdoła przeniknąć głębiny naszej etykiety, że panny nie pojawiają się na dworze aż do pójścia za mąż. Otóż książę ma taką ambicję na punkcie wyższości Parmy nad innymi miastami, iż założył się, że znajdzie sposób, aby kazać sobie przedstawić małą Klelię Conti, córkę naszego Lafayette'a. Jest, na honor, urocza, i jeszcze przed tygodniem uchodziła za najpiękniejszą istotę w całym państwie.

Nie wiem – ciągnął hrabia – czy okropności, jakie wrogowie księcia opowiadają o nim, doszły do Grianta; zrobiono zeń potwora, ludożercę. Faktem jest, iż Ernest IV posiada mnóstwo drobnych zalet; można dodać, że gdyby był ubezpieczony przeciw ranom jak Achilles, byłby całe życie wzorem panującego. Ale w chwili znudzenia i irytacji, a także aby naśladować Ludwika XIV, który kazał uciąć głowę nie wiem już jakiemu bohaterowi Frondy żyjącemu spokojnie w swoim majątku opodal Wersalu, w pięćdziesiąt lat po Frondzie Ernest IV kazał raz powiesić dwóch liberałów. Zdaje się, że ci lekkomyślnicy zbierali się w oznaczone dni, aby wygadywać na księcia i modlić się do nieba o zarazę, która by przyszła do Parmy i oswoodziła ich od tyrana. Udowodniono słowo *tyran*. Rassi nazwał to sprzysiężeniem i uzyskał wyrok śmierci; stracenie jednego z nich, hrabiego L..., odbyło się bardzo okrutnie. To się działo jeszcze przede mną. Od tej nieszczęsnej chwili – dodał hrabia ciszej – książę podlega napadom lęku *niegodnym mężczyzny*, ale stanowiącym jedyne źródło łaski, którą się cieszę. Bez tego wszechwładnego strachu charakter mój byłby zbyt energiczny, zbyt surowy dla tego dworu, ziemi obiecanej bałwanów. Czy uwierzyłabyś, że książę zagląda pod łóżka w swoim pokoju, nim się położy, i wydaje milion, co równa się czterem milionom w Mediolanie, aby mieć dobrą policję: oto widzi pani głowę tej straszliwej policji. Przez policję, to znaczy przez strach, zostałem ministrem wojny i finansów; że zaś minister spraw wewnętrznych jest moim nominalnym zwierzchnikiem, gdyż policja należy do jego sfery działania, postarałem się dać tę tekę hrabiemu Zurla-Contarini, głupcowi zamęczającemu się pracą, który dla przyjemności wypisuje osiemdziesiąt listów dziennie. Otrzymałem właśnie dziś rano list, na którym hrabia Zurla-Contarini miał satysfakcję położyć własną ręką liczbę porządkową 20 715.

Przedstawiono również panią Sanseverina smutnej księżnej parmeńskiej, Klarze Paulinie, która dlatego że jej mąż miał kochankę (dość ładną osobę, margrabinę Balbi), uważała się za najnieszczęśliwszą kobietę w świecie, co uczyniło ją może tylko najnudniejszą. Pani Sanseverina ujrzała kobietę wysoką, chudą, mającą niespełna trzydzieści sześć lat, a wyglądającą na pięćdziesiąt. Regularna i szlachetna twarz mogłaby uchodzić za piękną, mimo że zeszecona okrągłymi oczami krótkowidza, gdyby księżna nie była się zaniedbała. Przyjmowała diuszese z tak wyraźnym onieśmieleniem, że paru dworzan, niechętnych hrabiemu Mosca, odważyło się powiedzieć, iż księżna wygląda na poddanę, a diuszesa na panującą. Pani Sanseverina, zdziwiona, niemal zmieszana,

nie wiedziała, jakich wyrazów dobierać, aby się postawić niżej miejsca, które księżna wyznaczała sobie sama. Aby przywrócić nieco swobody biednej księżnie, która w gruncie nie była bez inteligencji, diuszesa nie znalazła nic lepszego niż zapuścić się w długą dysertację o botanice. Księżna była w istocie nader uczona w tej materii; miała bardzo ładne cieplarnie z mnóstwem roślin podzwrotnikowych. Diuszesa, starając się po prostu wybrnąć z kłopotu, pozyskała sobie na zawsze księżną Klarę Paulinę, która – nieśmiała i zakłopotana z początku – pod koniec tak się ożywiła, iż wbrew etykiecie audiencja trwała blisko pięć kwadransów. Nazajutrz diuszesa zakupiła różne egzotyczne rośliny i głosiła się wielką amatorką botaniki.

Księżna przestawała często z wielbnym ojcem Landriani, arcybiskupem parmeńskim, człowiekiem uczonym, rozumnym i zacnym. Było to osobliwe zjawisko, kiedy siedział w swoim szkarłatnym aksamitnym krześle (przysługiwało mu z prawa) naprzeciw fotela księżnej otoczonej damami dworu i dwiema damami *do towarzysztwa*. Siwowłosa prałat był, jeśli to możliwe, jeszcze bardziej nieśmiały niż księżna; widywali się co dzień, a każda audiencja zaczynała się od dobrego kwadransu milczenia; do tego stopnia, że aż hrabina Alvizi, jedna z dam do towarzysztwa, stała się rodzajem faworyty dzięki temu, że umiała zagajać rozmowę i przerywać milczenie.

Aby dokończyć prezentacji, wprowadzono panią Sanseverina do Jego Wysokości księcia następcy tronu, osobistości wyższej od ojca, a bardziej nieśmiałej niż matka. Był mocny w mineralogii i miał szesnaście lat. Zaczerwienił się na widok diuszesy i osłupiał tak, że nie umiał wyrzec słowa do pięknej damy. Był to przystojny chłopiec, który spędzał życie po lasach z młoteczką w dłoni. W chwili gdy diuszesa wstała, aby położyć koniec milczącej audiencji, księżę następcę zawołał:

– Mój Boże, jaka pani ładna!

Damie zaszczyconej prezentacją okrzyk ten wydał się wcale inteligentny.

Margrabina Balbi, dwudziestopięcioletnia kobieta, mogła jeszcze na parę lat przed przybyciem księżnej Sanseverina uchodzić za wzór *włoskiej urody*. Obecnie miała jeszcze cudowne oczy i rozkoszne minki; ale z bliska skóra jej była usiana drobnymi zmarszczkami, które czyniły z margrabiny jak gdyby młodą staruszkę. Widziana z odległości, na przykład w teatrze, w loży, była to jeszcze piękność, toteż publiczność podziwiała smak monarchy. Księżę spędzał wieczory u margrabiny Balbi, ale często nie otwierał ust; ta nuda dostojnej osoby sprawiła, że biedna kobieta wychudła straszliwie. Miała pretensję do wielkiego sprytu i uśmiechała się wciąż złośliwie; mając najpiękniejsze zębki w świecie, siliła się po omacku, bez żadnej myśli, wyrazić sprytnym uśmiechem co innego, niż mówiły jej słowa. Hrabia Mosca powiadał, że to te ciągłe uśmiechy, połączone z wewnętrznym ziewaniem, były przyczyną tylu zmarszczek. Margrabina Balbi miała udział we wszystkich obrotach; państwo nie mogło zrobić interesu ani na tysiąc franków bez jakiegoś *upominku* (grzeczne słowo używane w Parmie) dla margrabiny. Głos publiczny utrzymywał, że umieściła sześć milionów w Anglii, ale wedle świeżych a ścisłych informacji majątek jej nie sięgał w istocie ani miliona pięciuset tysięcy franków. Mosca postarał się o tekę finansów głównie dlatego, aby się ubezpieczyć od jej intryg i aby ją trzymać w zależności. Jediną sprężyną hrabiny był strach przedzierzgnięty w brudne skąpstwo: „*Umrę pod płotem*” – mówiła księciu zgorszonymu tym wyrażeniem. Pani Sanseverina zauważyła, iż przedpokój, lśniący od złocień, oświetlony był łojówką kapiącą na kosztowny marmurowy stół, a drzwi do sali były umorusane palcami lokajów.

– Przyjęła mnie – rzekła pani Sanseverina do swego przyjaciela – tak, jak gdyby oczekiwała ode mnie pięćdziesięciu franków gratyfikacji.

Serię powodzeń księżnej zmąciło nieco przyjęcie, jakiego doznała ze strony najrzęczniejszej kobiety na dworze, słynnej margrabiny Raversi, skończonej intrygantki, stojącej na czele stronnictwa przeciwnego hrabiemu Mosca. Chciała go obalić, i to tym bardziej, iż była siostrzenicą diuka Sanseverina i obawiała się, że uroki nowej diuszesy mogą zagrażać jej sukcesji.

– Raversi to nie jest bynajmniej kobieta, którą można by lekceważyć – rzekł hrabia do swej przyjaciółki – uważam ją tak dalece za zdolną do wszystkiego, że rozstałem się z żoną jedynie dlatego, że upierała się wziąć za kochanka kawalera Bentivoglio, jednego z przyjaciół margrabiny. Dama ta,

*virago*<sup>34</sup> o bardzo czarnych włosach, zwracająca uwagę diamentami, które nosiła od rana, i różem, którym powlekała policzki, zajęła od początku wrogie stanowisko wobec księżnej i na recepcji u siebie uważała za właściwe rozpocząć kroki wojenne. W listach, które pisywał z ..., Sanseverina zdawał się tak zachwycony swoją ambasadą, a zwłaszcza nadzieją wstęgi, iż rodzina lękała się, aby nie zostawił części majątku żonie, którą zasypywał podarkami. Pani Raversi, mimo iż zdecydowanie brzydka, miała kochanka, hrabiego Balbi, najładniejszego mężczyznę na dworze; w ogóle udawało się jej wszystko, co podjęła.

Księżna prowadziła dom na największej stopie. Pałac Sanseverina był zawsze jednym z najwspanialszych w Parmie, a książę, z okazji swej ambasady oraz przyszłej wstęgi, wydawał grube sumy na upiększenie go; pani Sanseverina kierowała robotami.

Hrabia odgadł: niedługo po przedstawieniu księżnej zjawiała się na dworze młoda Klelia Conti, zrobiono ją kanoniczką. Aby odwrócić cios, jakim ten fawor mógł się wydawać dla wpływów hrabiego, pani Sanseverina wyprawiła zabawę pod pozorem inauguracji ogrodu i z właściwym sobie wdziękiem uczyniła Klelię – którą nazywała swą młodą przyjaciółką z nad Como – królową wieczoru. Cyfra Klelii zjawiała się, niby przypadkiem, na transparencie. Młoda Klelia, mimo iż nieco zadumana, mile wspominała przygodę nad jeziorem oraz wyraziła swą wdzięczność. Mówiono o niej, że jest bardzo pobożna i skłonna do samotności. „Założyłbym się, mówił hrabia, że jest na tyle inteligentna, iż wstydzi się za ojca.” Księżna zaprzyjaźniła się z młodą panną, czuła do niej sympatię, nie chciała się okazać zazdrosna i wciągała ją do wszystkich swoich zabaw; słowem, systemem jej było łagodzić nienawiści, których hrabia był przedmiotem.

Wszystko uśmiechało się jej; bawiła się tą egzystencją dworską, w której wciąż trzeba się lękać burzy; miała uczucie, że zaczyna na nowo żyć. Czuła wiele tkliwości i przywiązania do hrabiego, który po prostu szalał ze szczęścia. Szczęście, którego kosztował, dawało mu doskonale zimną krew we wszystkim, co tyczyło jedynie ambicji. Toteż w niespełna dwa miesiące po przybyciu księżnej uzyskał stanowisko pierwszego ministra, wielce już bliskie – co się tyczy honorów – stanowiska samego panującego. Hrabia miał nieograniczony wpływ na swojego pana, a świeży ten dowód poruszył całą Parmę.

Na południowy wschód, o dziesięć minut od miasta, wznosi się słynna cytadela, tak głośniejsza we Włoszech, z wieżą wysoką na sto osiemdziesiąt stóp i widną z daleka. Wieża ta, zbudowana na wzór mauzoleum Adriana w Rzymie przez książąt Farnese<sup>35</sup>, wnuków Pawła III, z początkiem XVI wieku, jest tak obszerna, iż na tarasie, który ją wieńczy, można było zbudować pałac dla gubernatora cytadeli i nowe więzienie zwane wieżą Farnese. Więzienie to, zbudowane na cześć najstarszego syna Ranucjusza Ernesta II, który został kochankiem swej świekry, uchodziło za bardzo piękne i osobliwe. Pani Sanseverina zapragnęła je zwiedzić; dnia tego upał był straszliwy, na górze zaś znalazła przewiew, co ją tak zachwyciło, że spędziła tam kilka godzin. Otworzono jej skwapliwie sale wieży Farnese.

Na tarasie wielkiej wieży księżna spotkała biednego liberała, który zażywał tam półgodzinnej przechadzki, udzielanej więźniom co trzy dni. Za powrotem księżna, która nie nabyła jeszcze dyskrecji potrzebnej na absolutnym dworze, wspominała o tym człowieku, który jej opowiedział całe swoje życie. Stronnictwo Raversi podchwyciło słowa Giny i powtarzało je na prawo i lewo w nadziei, że podrażnią księcia. W istocie, Ernest IV mawiał często, iż najważniejsza rzecz to działać na wyobraźnię. „Zawsze to jest wielkie słowo – powiadał – i straszliwsze we Włoszech niż gdzie indziej.” Wskutek tego w życiu swoim nie użył łaski. W tydzień po wizycie w fortecy pani Sanseverina uzyskała złagodzenie kary, podpisane przez panującego i przez ministra z nazwiskiem in blanco. Więzień miał otrzymać zwrot całego mienia oraz pozwolenie dożycia dni w Ameryce. Wpisała

---

<sup>34</sup> *virago* – megiera. [przypis redakcyjny]

<sup>35</sup> *Wieża Farnese* – w rzeczywistości nie istniała w Parmie. [przypis tłumacza]

nazwisko człowieka, który z nią mówił. Niestety, była to licha figura, słaba dusza; jego zeznania sprawiły niegdyś, że słynnego Ferranta Palla skazano na śmierć.

Niezwykłe to ułaskawienie doprowadziło do zenitu pozycję pani Sanseverina. Mosca szalał ze szczęścia; piękna ta epoka jego życia wywarła stanowczy wpływ na los Fabrycego. Chłopiec siedział wciąż w Romagnano, blisko Nowary; spowiadał się, polował, nie czytał nic i umizgał się do szlachetnie urodzonej damy, jak zalecała jego instrukcja. Księżna była wciąż nieco krzywa o tę ostatnią konieczność. Drugą niebezpieczną dla hrabiego oznaką było to, iż księżna, zresztą bezwzględnie z nim szczerą, myśląca po prostu głośno w jego obecności, nie wspominała mu nigdy o Fabrycym, nie rozważywszy wprzód dobrze każdego słowa.

– Jeżeli chcesz – rzekł pewnego razu hrabia – napiszę do twego braciszka nad Como. Przy pewnym wysiłku moim i moich przyjaciół uda się nam może skłonić margrabiego del Dongo, aby się postarał o łaskę dla sympatycznego kuzynka. Jeżeli to prawda, o czym nie chcę wątpić, że Fabrycy wyrasta ponad młodych ludzi, którzy obnoszą się na angielskich konikach po ulicach Mediolanu, cóż to za życie – mając lat osiemnaście nie robić nic i mieć widoki zawsze nie robić nic! Gdyby niebo użyczyło mu szczerzej pasji do czegoś, bodaj do rybołówstwa, uszanowałbym ją: ale co on będzie robił w Mediolanie nawet po ułaskawieniu? Będzie o stałej godzinie dosiadał wierzchowca sprowadzonego z Anglii; o innej godzinie bezczynność zawiedzie go do kochanki, którą będzie mniej kochał niż konia... A jeśli rozkażesz, postaram się zapewnić to życie twemu bratankowi.

– Chciałabym go widzieć oficerem – rzekła księżna.

– Czy radziłabyś jakiemu panującemu, aby powierzył stanowisko, które może mieć pewnego dnia swoją wagę, młodemu człowiekowi: primo, zdolnemu do entuzjazmu; secundo, który okazał entuzjazm dla Napoleona do tego stopnia, iż pognął za nim pod Waterloo? Pomyśl, czym bylibyśmy wszyscy, gdyby Napoleon zwyciężył pod Waterloo! Nie trzeba by nam się lękać liberałów, to prawda; ale monarchowie ze starożytnych dynastii nie mogliby się utrzymać przy tronie inaczej niż żeniąc się z córkami marszałków. Tak więc dla Fabrycego kariera wojskowego to los wiewiórki w klatce: wiele ruchu, ani kroku naprzód. Będzie patrzył, jak go wyprzedza każdy wytrwały plebejusz. Pierwszą zaletą młodego człowieka dzisiaj, może przez pięćdziesiąt lat, jak długo będziemy czuli strach i jak długo religia nie odzyska władzy, to nie być entuzjastą i nie myśleć.

Przyszło mi do głowy jedno, ale to jest rzecz, na którą zrazu się okrzykniesz, a mnie sprawi ona wiele kłopotów, i to nie na dzień ani dwa: jest to szaleństwo, które chcę popełnić dla ciebie. Ale powiedz mi, jeśli wierzysz, jakiego szaleństwa nie zrobiłbym, aby uzyskać jeden uśmiech.

– A więc? – spytała księżna.

– A więc! Mieliśmy w Parmie trzech arcybiskupów z waszej rodziny: Ascania del Dongo, który pisywał w r. 16.., Fabrycego w r. 1699 i drugiego Ascania w 1740. Jeśli Fabrycy zechce pójść drogą infuły i odznaczyć się cnotami, zrobię go gdzieś tam biskupem, a potem arcybiskupem tutaj, o ile wpływ mój potrwa. Realny zarzut jest ten: czy będę ministrem dość długo, aby urzeczywistnić ten piękny plan wymagający wielu lat? Książę może umrzeć, może wpaść na ten koncept, aby mi dać dymisję. Ale ostatecznie jest to jedyny środek, jakim rozporządzam, aby uczynić dla Fabrycego coś, co by było godne ciebie.

Dyskusja trwała długo – myśl ta była dla księżnej bardzo odpychająca.

– Dowiedz mi jeszcze – rzekła do hrabiego – że wszelka inna kariera niemożliwa jest dla Fabrycego.

Hrabia dowiódł.

– Żałujesz – rzekł – świętego munduru; ale na to nie umiem nic poradzić.

Po miesiącu namysłu, którego zażądała, księżna poddała się z westchnieniem roztropnym poglądom ministra.

– Dosiadać z nadętą miną angielskiego konia w jakimś dużym mieście – powtarzał hrabia – lub obrać zawód zgodny z jego urodzeniem; nie widzę pośredniej drogi. Na nieszczęście szlachcic nie może zostać ani lekarzem, ani adwokatem; a nasza epoka należy do adwokatów. Pamiętaj, bądź co

bądź – powtarzał hrabia – że zapewniasz swemu bratankowi na bruku Mediolanu los, jakim cieszą się ci z jego rówieśników, którzy uchodzą za najszcześniejszych. Wyjednawszy ułaskawienie możesz mu dać piętnaście, dwadzieścia, trzydzieści tysięcy franków, mniejsza ile: ani ty, ani ja nie zamierzamy robić oszczędności.

Księżna była czuła na sławę; nie chciała, aby Fabrycy był prostym darmozjadem; wróciła do planu swego kochanka.

– Zauważ – rzekł hrabia – że ja nie mam pretensji zrobić z Fabrycego wzorowego księdza, jakich spotyka się tyłu. Nie, to przede wszystkim wielki pan; może być nieukiem, jeśli ma ochotę, mimo to zostanie biskupem i arcybiskupem, o ile księciu nadal będą potrzebny.

Jeśli na twoje rozkazy propozycja moja zmieni się w niewzruszony wyrok – dodał hrabia – nie trzeba, aby Parma oglądała naszego pupila w jego początkach. Kariera jego raziłaby, gdyby go tu widziano jako zwykłego księdza; winien pojawić się w Parmie dopiero w fioletowych pończochach<sup>36</sup> i należycie wyekwipowany. Wszyscy się domyślą, że twój bratanek ma zostać biskupem, i nikt się tym nie zgorszy.

Posłuchaj mnie, wyślij Fabrycego na trzy lata teologii do Neapolu. Podczas wakacji może pojechać do Paryża i Londynu, ale nie pokaże się w Parmie.

Ostatnie zdanie przejęło księżnę jak gdyby dreszczem.

Wysłała kuriera do bratanka i nazaczyła mu spotkanie w Placencji. Trzeba dodać, że ten kurier zawiózł mu potrzebne pieniądze i paszport.

Przybywszy pierwszy do Placencji, Fabrycy pobiegł naprzeciw księżnej i uściskał ją z uniesieniem, które wycisnęło jej łzy. Szczęśliwa była, że hrabiego nie było przy tym; od czasu ich stosunku pierwszy raz doznała tego wrażenia.

Plany księżnej dotyczące jego osoby zrazu wzruszyły głęboko, a potem zmartwiły Fabrycego; zawsze miał nadzieję, iż po umorzeniu sprawy z Waterloo zostanie w końcu żołnierzem. Jedno uderzyło księżnę i pomnożyło jeszcze romantyczną opinię o bratanku: mianowicie, iż odrzucił stanowczo myśl o kawiarnianym życiu w jednej ze stolic Włoch.

– Wyobrażasz sobie siebie na Corso we Florencji albo Neapolu – powiedziała księżna – na koniku angielskim czystej krwi? Wieczorem powóz, ładne mieszkanie itd. – Z przyjemnością rozwodziła się nad tym pospolitym szczęściem, które Fabrycy odpychał ze wzdargą.

„To bohater!” – myślała.

– A po dziesięciu latach tego przyjemnego życia cóż osiągnę – powiedział Fabrycy – czym będę? Młodym człowiekiem *dojrzałym*, który musi ustąpić pierwszemu z brzegu chłoptasiowi wchodzącemu w świat również na angielskim koniu.

Zrazu Fabrycy odtrącił bezwzględnie myśl o karierze duchownej; mówił o wyjeździe do Ameryki, aby zostać obywatelem i żołnierzem republikańskim.

---

<sup>36</sup> w fioletowych pończochach – we Włoszech młody człowiek posiadający protekcję albo wysoką naukę zostaje monsignorem lub prałatem, co nie oznacza biskupa, wówczas nosi fioletowe pończochy. Aby zostać monsignorem, nie trzeba składać ślubu, można zdjąć fioletowe pończochy i ożenić się. [przypis autorski]

## **Конец ознакомительного фрагмента.**

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.